Nr 17
3. XI. 1946 r

TYDZIEŃ

Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



POKÓJ POLEGŁYM ZA POLSKĘ

STANY ZJEDNOCZONE CZY SYSTEM SOJUSZÓW

W miarę oddalania się od wojny Europa wkracza na drogi w poszukiwaniu najlepszego rozwiązania zagadnienia swego przyszłego bytu. Wszystkie one prowadzić mają do jednego celu: do uchronienia Europy i świata od nowej straszliwej wojny, która w epoce atomowej może ludzkości grozić zagładą. Jeśli straty w zabitych, pomordowanych i kalekach z ostatniej wojny ocenia na około 50 milionów ludzi, to cóż czeka ludzkość w następnej wojnie?

W dziele utrwalenia pokoju Europa stoi na pierwszym miejscu, gdyż przedstawia ona największe zróżniczkowanie narodowościowe i stąd grozi przede wszystkim każde zarzewie wojny. Nadmiar dynastii w ubiegłych wiekach był przyczyną ścierających się ustawicznie interesów dynastycznych w Europie. Potem przyczyną taką był rozrost nacjonalizmu. Obecnie już tylko obecność w Europie Niemców, plemienia, które nie straciło nic ze swej wojowniczości przez tysiąc lat historii, przeszkadza w utrwaleniu pokoju w Europie. Wszystkie inne mocarstwa osiągnęły już taki stopień swego rozwoju, że dobrowolnie rezygnują z wojny, jako środka załatwienia sporów międzynarodowych. Tylko Niemcy nie wypuszczają broni z ręki. Od przeszło stu lat, od końca epoki napoleońskiej każda niemal wojna europejska i dwie światowe wywołane zostały przez Niemcy. Nic przeto dziwnego, że wszystkie projekty pokojowej organizacji Europy idą w kierunku wciągnięcia Niemiec do pokojowej współpracy z resztą narodów europejskich, lub też do otoczenia ich takim kordonem, który uniemożliwiłby im wszelką wojnę.

Teoretycznie obie te koncepcje są możliwe i były już stosowane po poprzedniej wojnie światowej. W praktyce nie dały rezultatu. Wina za ten stan rzeczy spada równomiernie zarówno na Niemcy, jak i na mocarstwa zachodnie, które wykazały zupełny brak konsekwencji w praktycznym zastosowaniu głoszonych koncepcyj.

Po poprzedniej wojnie światowej Francja, która uzyskała dominujące stanowisko w Europie, stworzyła system sojuszów otaczający Niemcy. Związane z Francją państwa stały z bronią u nogi, gotowe interweniować przy każdej próbie wyłamania się Niemiec z ograniczeń traktatu wersalskiego. Po trzeba taka zaszła, gdy Niemcy odmówiły spłaty odszkodowań wojennych, nałożonych na nie w Wersalu. Wojska sojusznicze zajęły wówczas zagłębie Ruhry, zabierając Niemcom całą produkcję tej najbardziej przemysłowej prowincji niemieckiej.

W drugiej fazie polityka siły ustąpiła miejsca polityce porozumienia i ulg. Najwybitniejszym przedstawicielem tej fazy był wielokrotny minister spraw zagranicznych Francji Arystydes Briand. Szczytowym punktem tej polityki był traktat w Locarno zawarty przez Brianda z jego niemieckim partnerem Stresemannem. Zwycięska Francja zapłaciła w Locarno zwyciężonym Niemcom wysoką cenę za poczucie względnego bezpieczeństwa na granicy Renu: przedwczesne zwolnienie spod okupacji Nadrenii, która stanowiła dla Niemiec „place d'armes" w każdej wojnie przeciw Francji. Ale już sam fakt, że Stresemann bronił się przeciw rozszerzeniu układu bezpieczeństwa na wschodnie granice Niemiec nie wróżył nic dobrego dla pokoju Europy. Stresemann nie doczekał wprawdzie sam efektów tej swojej polityki, ale utorował drogę na wschód Hitlerowi. I wówczas okazało się, że w systemie sojuszów, otaczających Niemcy, zawiodła sama Francja, która odrzuciła propozycje Polski podjęcia wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom w r. 1933 po dojściu Hitlera do władzy. W rezultacie tych niekonsekwencyj w polityce samej Francji w stosunku do Niemiec, Europa doczekała się drugiej wojny.

Obecnie historia zaczyna się powtarzać. Propozycje w kierunku pokojowej organizacji Europy wymieniają znów dwa rozwiązania: system sojuszów, względnie politykę porozumienia z Niemcami.

B. premier Churchill, w swej mowie wygłoszonej w Zurichu rzucił koncepcję, powtórzoną na zjeździe konserwatywnym w Blackpool, porozumienia francusko-niemieckiego i oddania Francji i Niemcom kierownictwa sprawami Europy. Jest to powtórzenie starej piosenki, która nie wywołała pożądanego efektu po tamtej wojnie, wszystko więc przemawia za tym, że nie wywoła i po tej. Tę samą koncepcję rzucił zresztą i marszałek Smuts w swej mowie wygłoszonej przed połączonymi izbami parlamentu holenderskiego w Hadze. Koncepcja ta jest stanowczo przedwczesna. Upłynie długi okres, nim Europa stwierdzi, że Niemcy wyrzekły się na zawsze agresji i wojny i będzie mogła wejść na drogę pokojowego współżycia z Niemcami. Przypomnijmy sobie, że Anglia przez wieki znajdowała się w wojnie z Francją, najeżdżając ją stale. Od chwili ostatniej bitwy, w której Francuzi i Anglicy walczyli przeciw sobie (pod Waterloo w 1815 r.) do pierwszej bitwy, w której walczyli w jednym szeregu przeciw Niemcom (pod St. Quentin w r. 1914) upłynęło 100 lat. Na przestrzeni tych stu lat pokoju nad Kanałem La Manche (pomijamy epizod wojny krymskiej, zbyt odległy od historycznych pobojowisk europejskich) nienawiść dwóch narodów zmieniała się powoli we wzajemną przyjaźń, opartą na szacunku. Czy dla Niemiec okres stuletniej próby miałby być uważany za zbyt długi? Z jakiego tytułu?

Jeśli już przeto samo założenie koncepcji Churchilla — Smutsa jest błędne, cały dalszy rachunek będzie błędny i doprowadziłby Europę i świat ponownie do dotkliwej pomyłki, którą już raz dopiero co przeżyła.

Marszałek Smuts rzucił jednak jeszcze więcej projektów w swojej mowie haskiej. M. in. oddania kierownictwa Europy Wielkiej Brytanii. I ta koncepcja nie wydaje się być szczęśliwa. Wielka Brytania nie jest państwem ściśle europejskim. Jest tylko macierzą wielkiego imperium, rozłożonego we wszystkich częściach świata. Zainteresowania europejskie są dla Anglii o tyle żywotne, o ile nie szkodzą one polityce całego imperium. Nikogo nie powinien łudzić fakt, że po każdej wojnie polityka angielska rozwija na kontynencie europejskim ożywioną działalność, co powtarza się również w chwili grożącego konfliktu. Anglia znajdzie się w każdej koalicji antyniemieckiej, gdyż wierna swej zasadzie Wielka Brytania będzie dążyć zawsze do osłabienia najsilniejszego państwa kontynentalnego, dla ratowania własnych interesów. I jakkolwiek Anglia odbiegła już daleko od wyznawanej w XIX wieku „splendid isolation", to jednak jej własne imperium jest jej o wiele bliższe, aniżeli polityka kontynentalna. Biorąc w niej udział, W. Brytania nie jest jednak zdolna do objęcia roli kierowniczej w Europie, co wykazała w okresie międzywojennym rzadkimi skokami spoza „British - Channel" na szerokie wody polityki europejskiej.

Dalszym projektem marszałka Smutsa są Stany Zjednoczone Europy.

Świat zna dotąd trzy organizmy państwowe, istniejące na zasadach stanów zjednoczonych: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Stany Zjednoczone Meksyku i Stany Zjednoczone Brazylii. Wszystkie trzy organizmy reprezentują dużą zwartość, opartą na jedności języka przede wszystkim. Języki angielski, hiszpański i portugalski są panującymi w poszczególnych organizmach. W Meksyku i Brazylii istnieje jeszcze jedność religii i pochodzenia. Europa natomiast przedstawia szachownicę o niezliczonej rozmaitości językowej, religijnej i narodowościowej. Stworzenie Stanów Zjednoczonych Europy z tej różnorodnej pstrokacizny stanowiłoby jeden z najtrudniejszych problemów, mało prawdopodobny do urzeczywistnienia. U.S.E. (United States of Europe) musiałyby przecież dążyć do stworzenia z wielu organizmów państwowych jednego wielkiego państwa, obejmującego całą Europę, przy czym naród, liczebnie silniejszy, aczkolwiek rozłożony w kilku stanach, zagrażałby zmajoryzowaniem narodu słabszego. Trzeba by wyszukać jakiś system naprawdę doskonały, genialny i zastosować go w czasie, gdy wszystkie narody europejskie osiągną jednakowy stopień rozwoju kulturalnego, a Niemcy wyrzekną się agresji, lub osiągną taki stopień dekadencji, że nie będą zdolni do wojen agresywnych.

Zdaje się przeto, że w dzisiejszej fazie rozwoju sytuacji politycznej w Europie, najskuteczniejszym środkiem uchronienia się od nowej wojny jest system sojuszów, otaczający Niemcy. Ale i w tym kierunku narzucają się różne rozwiązania. Poseł do Izby Gmin Zilliacus jest zwolennikiem systemu dwuczłonowego, obejmującego sojusz brytyjsko - sowiecki i francusko - sowiecki. Należy wątpić w skuteczność takiego systemu ze względu na wyłożoną wyżej linię polityczną Wielkiej Brytanii. Konsekwentnie przeto narzuca się system inny, obejmujący sojusz państw przez Niemcy najbardziej zagrożonych, a obejmujący Francję, Polskę, ZSRR i Czechosłowację, ewentuainie Jugosławię. Oczywiście system ten spełni swe zadanie tylko wówczas, gdy będzie poparty czynnikiem siły. Istnienie tego systemu wykluczy konieczność tworzenia bloku zachodniego, którego istnienie nie będzie uzasadnione, gdyż nie będzie ono nigdy przedstawiało tej zwartości i konsekwentej woli, co sojusz państw, zawsze najbardziej zagrożonych bezpośrednią agresją niemiecką.

Aleksander Then

Cmentarz wojskowy na Powązkach



NAJLEPSZE TRAKTATY

Podczas, gdy zarówno Jugosławia, jak i Włochy uważają się za pokrzywdzone traktatem pokojowym, amerykański sekretarz stanu Byrnes wygłosił przez radio oświadczenie, w którym zreasumował wyniki konferencji paryskiej i podkreślił między innymi, że paryskie traktaty pokojowe są najlepsze, jakie można osiągnąć w obecnych warunkach. Zdaniem jego, wiele państw poczyniło różne koncepcje, zatem i Jugosławia winna być gotowa do pewnych koncesji.

Wszystko w porządku. Ale przecież z traktatu włoskiego nie tylko Jugosławia jest niezadowolona. Niezadowolone są również Włochy. Trudno jest wzywać do poczynienia koncesji również Włochy, gdy traktat zawierany jest na ich koszt. Błąd jest zasadniczy i tkwi gdzie indziej. W połowicznym rozwiązaniu skomplikowanych zagadnień na terenie Europy.

„Drang nach Osten" nie był tylko monopolem niemieckim. W ciągu swej długiej historii Włosi byli narodem, który również parł na wschód, wypierając Słowian południowych z ich prastarych dziedzin. Nie widzimy przyczyn dla których Istria włoska nie miałaby się stać ponownie Pobrzeżem słowiańskim, a Gorycja wrócić do Słoweńców, których była niegdyś stolicą. Do tych samych zagadnień winna być przykładana ta sama miara. Jeśli Niemcy odrzuceni zostali z powrotem na zachód ze zrabowanych ziem wschodnich, to równie bezapelacyjnie winni być odrzuceni na zachód Włosi.

Traktat pokojowy winien pozostawić tylko jedną stronę niezadowoloną, ale nigdy obie. Oczywiście, niezadowolonym winien być zawsze zwyciężony, a nigdy zwycięzca.

O tym sekretarz Byrnes zapomniał w Paryżu i nie pamięta również po powrocie do Ameryki. **A. T.**

UKŁAD POWOJENNY SIŁ MIĘDZY POLSKĄ A NIEMCAMI

Jakie zmiany w układzie sił między Polską a Niemcami spowodowała druga wojna światowa? Który z tych dwu narodów, które od tysiąca lat toczą między sobą śmiertelny bój, znalazł się obecnie w lepszych warunkach? Czy naród polski może w nowej rzeczywistości życiowej powiększyć swoje siły i zmniejszyć przewagę sił Niemiec?

Spróbujmy odpowiedzieć na te ważkie dla narodu polskiego pytania. A więc przede wszystkim Niemcy stracili na rzecz Polski 101.374 km kw. powierzchni. Terytorium to ma olbrzymie znaczenie zarówno dla Niemiec jak i dla Polski. Posiadając Prusy Wschodnie, Pomorze Zachodnie, ziemie nadodrzańskie i Śląsk, Niemcy rozporządzały świetnymi pozycjami wypadowymi, skąd wychodziły druzgocące uderzenia na Polskę. Nowa granica polsko-niemiecka nad Odrą i Nysą pozbawia Niemcy tych pozycji wypadowych, wzmacnia Polskę strategicznie na zachodzie, wraca jej piastowski Śląsk, kuźnię zbrojeń niemieckich i daje jej szeroki dostęp do Bałtyku.

Ziemie te dla Polski mają znaczenie nie tylko strategiczne ale i gospodarcze. Przyznane nam w darze liczne warsztaty przemysłowe i długi brzeg morski z ważnymi i licznymi portami, umożliwiają nam przetworzenie narodu polskiego z rolniczo-przemysłowego na przemysłowo-rolniczy i morski a więc bardziej zdolny do walki o byt.

Rozrachunek terytorialny polsko-niemiecki, spowodowany drugą wojną światową, wypada na korzyść Polski. A ludnościowy?

Przed wojną państwo polskie liczyło około 35 milionów, obecnie niespełna 24 miliony ludności. Wprawdzie nie znamy dokładnej liczby mieszkańców powojennych Niemiec, ale nie ulega wątpliwości, że wskutek odpływu do Rzeszy volksdeutschów z ZSRR, Polski, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier i Jugosławii, Niemcy są liczniejsze niż przed wojną. Obecną ludność Niemiec obliczają na przeszło 70 milionów. Gdy w r. 1939 Niemcy posiadały dwa razy tyle ludności co Polska, dziś przeważają nad nami blisko trzykrotnie.

Czy ten rozrachunek należy zaliczać na niekorzyść Polski?

I tak i nie. Tak, gdyż powojenne Niemcy dystansują nas liczbą ludności jeszcze bardziej jak przed wojną. Nie, gdyż Polska pozbywszy się ze swych ziem Niemców, usunęła setki tysięcy wrogów, którzy na rozkaz Berlina rozsadzali naród i państwo polskie od wewnątrz. Jeśli się przy tym doda, że obecna Polska, wskutek innych przemian terytorialnych i ludnościowych, stała się jednolitą pod względem narodowościowym, to groźna wymowa cyfr powyższych ulegnie złagodzeniu.

Snując dalej ten rozrachunek ludnościowy, podkreślmy jeszcze jeden fakt, niesłychanej wagi dla narodu polskiego. Mieszka nas obecnie w Polsce 24 miliony, a gęstość zaludnienia wynosi przeciętnie 77 osób na kilometr kwadratowy. Zarówno uprawa pola jak i warsztaty przemysłowe pozwalają na poważne zagęszczenie ludności. Nie pomylimy się, gdy stwierdzimy, że obecne ziemie polskie odpowiednio wyzyskane i zagospodarowane mogą pomieścić, zatrudnić i wyżywić blisko 50 milionów ludności.

Jest to fakt dla naszego rozwoju niesłychanej wagi. Żaden Polak nie potrzebuje wędrować na obczyznę za chlebem, jak się to działo przez całe stulecie, przyczyniając się do pozbawienia nas milionów dzielnych synów i córek. Dziś cały przyrost ludnościowy może być wchłonięty przez nasze życie gospodarcze a w pierwszych dziesiątkach lat i parę milionów reemigrantów. Są więc warunki, pozwalające na rozrost liczebny i gospodarczy narodu polskiego oraz na pomnożenie jego sił biologicznych i materialnych na ziemiach macierzystych.

Niemcy liczniejsi niż przed wojną przez napływ z całej Europy volksdeutschów, za to stłoczeni na mniejszym terenie. Choć według ekonomistów anglosaskich ocalili na swoich terenach 70 procent fabryk, zatracili tak ważną bazę gospodarczą jak Śląsk i najprawdopodobniej i Zagłębie Saary. Wątpliwe, czy reforma rolna przeprowadzona w strefie radzieckiej i zapowiadana w strefach anglosaskich, odegra większą rolę w rozładowaniu nadmiaru ludności niemieckiej i zapewni jej dostateczną liczbę warsztatów pracy. Zagadnienie to jeszcze z większą ostrością wystąpi, gdy po zawarciu pokoju wrócą miliony Niemców z niewoli. Toteż jest możliwe, że przed nowym pokoleniem Niemców zarysuje się, jako nieubłagana konieczność gospodarcza, widmo zarobkowej emigracji.

Stwierdzając te fakty, nie mamy zamiaru umniejszania potęgi ludnościowej i gospodarczej Niemiec. Gdy dojdzie do zawarcia traktatu pokojowego i gdy Niemcy znajdą się w warunkach, pozwalających im na rozwój, odbudowa Niemiec postępować będzie w bardzo szybkim tempie. Już dziś pod okupacją życie gospodarcze w Niemczech porobiło duże postępy.

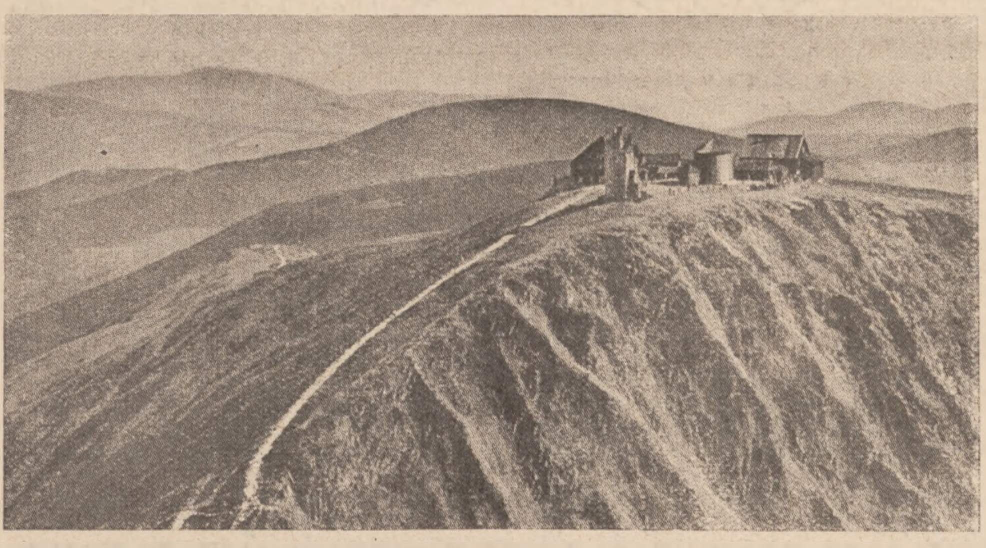
Nie zapominajmy, że Niemcy rozporządzają dużą ilością zrabowanych w całej Europie surowców, a przede wszystkim są w posiadaniu wielkiej ilości wysokocennych walut, złota i kosztowności, które wycisnęli w niemiłosierny sposób z ujarzmionych narodów. Łatwo je było ukryć w skrytkach domowych lub safesach banków zagranicznych, toteż mała tylko cząstka wpadła w ręce zwycięzców.

Ten zrabowany kapitał, uruchomiony w odpowiednim czasie, odegra niezawodnie wielką rolę w odbudowie Niemiec i w ich nowej ofensywie gospodarczej w Europie.

Należy pamiętać, że ten rozbójniczy naród, nie cofający się przed żadną zbrodnią dla pomnożenia swej potęgi, odznacza się wielką pracowitością i posiada wielkie talenty organizacyjne. Walory te potrafi spożytkować zarówno podczas wojny jak i pokoju. Zresztą czasy pokoju też zużytkowują Niemcy dla podboju swoich sąsiadów drogą ofensywy gospodarczej.

Toteż, choć w układzie sił między Polską a Niemcami niejedno po drugiej wojnie światowej przesunęło się na korzyść narodu polskiego, nie możemy zamykać oczu na niebezpieczeństwo niemieckie. Tym bardziej, że Niemcy nigdy nie przebolеją powrotu Ziem Odzyskanych do Polski i zawsze będą ostrzyć miecze przeciw Polsce. Toteż tylko przez pomnożenie biologicznych sił narodu polskiego drogą zwiększenia przyrostu naturalnego i wzmożenia ruchu reemigracyjnego z zagranicy oraz przez rozrost nowych warsztatów gospodarczych, możemy zmniejszyć dysproporcję w układzie sił między Polską a Niemcami. Na to trzeba dziesiątków lat planowej, systematycznej, wytrwałej i wytężonej pracy wszystkich warstw, we wszystkich ośrodkach i warsztatach. Musimy się przetworzyć w nowoczesny naród, zdolny do dźwignięcia najcięższych ciężarów życiowych.

Stanisław Grzegorzewski



Śnieżka — najwyższy szczyt Gór Olbrzymich i jednocześnie najwyższa góra Dolnego Śląska (1605 m. n. p. m.). Na szczycie schronisko i obserwatorium astronom. polskie oraz schronisko czechosłowackie.

PROGRAM BUDOWLANY WIELKIEJ BRYTANII

Przed 1939 r. Wielka Brytania budowała przeciętnie 1000 domów dziennie. W okresie wojny wykończonych zostało tylko 150000 domów. W następstwie bombardowania niemieckiego uległo zniszczeniu zupełnemu 200000 domów, 250000 zostało poważnie uszkodzonych a około 4 milionów domów doznało mniejszych uszkodzeń. Nic więc dziwnego, że głód mieszkaniowy w Wielkiej Brytanii jest duży. Pod naciskiem związków zawodowych rząd angielski opracował plan budowy 4 milionów nowych domów w ciągu 10 najbliższych lat, z czego 250000 do końca 1947 r. Plan ten został opracowany jeszcze podczas wojny, gdy obliczono, że wojna na Dalekim Wschodzie będzie trwała około dwóch lat po pokonaniu Niemiec. Teoretycznie więc program budowlany powinien być zrealizowany wcześniej, jednak trudności gospodarcze nie pozwalają na to.

Przemysł angielski produkuje obecnie masowo wszelkie instalacje potrzebne do planowego zaopatrzenia domów tak, że ustawienie ich na miejscu wymaga minimum czasu.

Zastosowano przy tym dwa typy budowy domów tymczasowych, tzw. typ „Arcon" i „Aluminium". Typ domu „Arcon" ma ściany stalowe, wykładane wewnątrz podwójnymi płytami azbestowanego cementu. Również wiązania dachu są z podobnego materiału. Ściany i dach są izolowane wełną ze szkła i wykładane wewnątrz płytami z gipsu i fibry. Ma to chronić instalacje od zamarznięcia.

Dom typu „Aluminium" jest kompletnie przygotowany w fabryce w czterech oddzielnych częściach składowych i montowanych w fabryce, gdzie również wykonuje się instalację. Następnie części składowe są przewożone na platformach ciężarowych na miejsce, w którym ma stanąć budynek, gdzie przy pomocy dźwigów osadzane są na przygotowanym podmurowaniu i połączone specjalnymi sztyftami. Ustawienie takiego domu trwa zaledwie 7 godzin.

Od Administracji

Prosimy o terminowe wznowienie opłat za prenumeratę. Brak wpłaty spowoduje wstrzymanie wysyłki.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na miesiąc listopad b. r.

KARCZMA CZY KULTURA

W prasie naszej rozlegają się głosy, propagujące trzeźwość. „Tygodnik Powszechny" poświęca baczną uwagę alkoholizmowi. W łódzkim „Kurierze Popularnym" (Nr 228/358) ukazał się zasadniczy artykuł pt. „Walka z pijaństwem musi zmobilizować siły całego społeczeństwa". Z artykułu tego przytoczmy kilka ciekawych wiadomości. A więc: „Alkoholizm zawisnął złowrogo nad pracą i kulturą miast i wsi. Pijaństwo degeneruje umysł i ciało mężczyzn i kobiet oraz młodzieży i dzieci poniżej lat trzynastu, z których (według statystyki) 51% używa alkoholu sporadycznie, a 17% upija się". A więc: „Premier powołał Państwową Radę Walki z Alkoholizmem... jednocześnie zaś słychać o założeniu stałej uczelni dla działaczów walki z pijaństwem". A więc: „Grupie działaczów Towarzystwa Trzeźwość umożliwiono zorganizowanie w październiku XV kursu alkohologii... Układ tematów kursu, ujmującego zagadnienia alkoholizmu integralnie (?), był dziełem wytrawnego erudyty alkohologii red. Jana Szymańskiego". A więc: „Kursu wysłuchało 123-ch krzewicieli trzeźwości... którzy rozjechali się w teren, przeświadczeni o destrukcyjnych własnościach jadu alkoholowego. Odbyło się kilka uroczystych ślubowań całkowitej abstynencji". (Ostatnie zdanie wydrukowano tłustą czcionką).

Wiadomości powyższe zbudziły we mnie wspomnienia i refleksje. Przypomniał mi się XIV, ostatni przed wojną, kurs „alkohologii", który się wówczas nazywał nie kursem, lecz „tygodniem propagandy trzeźwości". Organizowało go również Towarzystwo Trzeźwości, sterowane przez red. Jana Szymańskiego. Było to w lutym r. 1939, w porze zdawałoby się, najmniej sprzyjającej trzeźwości, bo w karnawale. W nocy naród hulał i pił na umór, a w dzień urządzano dla niego „akademie" antyalkoholowe, wygłaszano na nich odczyty i referaty, i „układ tematów, ujmujących zagadnienie alkoholizmu", zapewne również „integralnie", był tak samo dziełem red. Szymańskiego. Jeden krzewiciel mówił o szkodliwych skutkach pijaństwa w ogólności; drugi — o zwyrodnieniu rasy; trzeci podawał środki zapobiegania złu: czwarty zastanawiał się nad społeczną klęską alkoholizmu; piąty rozważał jej stronę ekonomiczną; szósty przerażał chorobami wenerycznymi i umysłowymi... Poczem „rozjeżdżali się w teren". W związku z tym rozjeżdżaniem się zwróciłem się wówczas do mych czytelników z żartobliwą ankietą treści następującej: Wyobraźmy sobie, że do jednej, drugiej i trzeciej Pipidówki (o Pipidówki przecie, o promieniowanie antyalkoholiczne na prowincję chodzi przede wszystkim) przyjechał krzewiciel trzeźwości celem propagandy i oddziaływania. Odbyła się uroczysta akademia. A po akademii — cóż? Co robić w głuchej Pipidówce, gdy trzeba czekać kilkanaście godzin na pociąg? Długie referaty z dyskusją wyczerpały i krzewiciela i słuchaczów. A Pipidówka — jak cała ojczyzna nasza — jest po staropolsku gościnna. Tedy — przyjęcie u burmistrza z funduszów reprezentacyjnych. Widzimy tam wszystkie figury miasteczka: doktora, aptekarza, księdza proboszcza, paru prezesów, inspektora szkolnego, kierownika szkoły powszechnej, sędziego i mecenasa... Wziąwszy to wszystko pod uwagę, zadałem w ankiecie swojej trzy pytania czytelnikom. Jak sądzą? Czy na przyjęciu takim podano alkohol? 2) Czy, jeśli go podano, krzewiciel trzeźwości pił? 3) Jeśli się wymawiał, czy nie próbowano go, jak to się mówi po polsku, zgwałcić i czy zgwałcono wreszcie? Pamiętam, że otrzymałem wiele odpowiedzi i wszystkie brzmiały trzy razy „tak". Tak — podano. Tak — pił. Tak — zgwałcono.

Zaiste, były to odpowiedzi życiowe. W rzeczy samej — zważmy: jeżeli obecnego XV kursu wysłuchało 123-ch krzewicieli trzeźwości, a spośród nich zaledwie kilku złożyło ślubowania „całkowitej abstynencji" — co zrobiła reszta?

Przypuszczalnie, oprócz całkowitej abstynencji istnieje jeszcze abstynencja cząstkowa, która pozwala ślubodzierżcy na umiarkowane użycie alkoholu, zakreślając mu tylko pewne granice niby przysłowiowa „hora canonica"

Moja ankieta rozpisana była w tym samym czasie, kiedy Antoni Słonimski stoczył walkę z red. Janem Szymańskim, tj. — naodwrót: Szymański ze Słonimskim. Słonimski bowiem w „Wiadomościach Literackich" wziął w obroty miesięcznik „Trzeźwość", redagowany przez Szymańskiego. W „Trzeźwości" ukazał się wzruszający wiersz antyalkoholowy (a może alkoholiczny?), w którym to wierszu małe dziecię w ten sposób przemawiało do ojca-pijaka: „O wyjdź z tego szlaku zmąconych zła dróg, daj czcić cię i kochać, jak kazał sam Bóg". Słonimski napisał: „Gdyby się do mnie tak jaki szczeniak odezwał, to za samo zmącenie zła dróg sprałbym pętaka między jedną butelką wyborowej a drugą i przedostatnią". Red. Szymański dał odprawę Słonimskiemu w specjalnej broszurze pt. „Karczma czy kultura — odpowiedź panu Antoniemu Słonimskiemu", i rozpoczął tak: „Przecieramy oczy... Kto to przemawia? Pętak z knajpy czy pisarz? Szczeniak z ulicy czy przedstawiciel intelektu?" Otóż, te pierwsze słowa: „przecieramy oczy" — potwierdzałyby również hipotezę o abstynencji cząstkowej.

Takie rozmaite wspomnienia wywołał we mnie artykuł „Kuriera Popularnego". A refleksje? Będziemy mieć jeszcze jedną „uczelnię" w Polsce. Czy wyższą? Czy nastąpi jej uroczyste otwarcie i pokropienie tj. poświęcenie? To pierwsza refleksja. Druga: co to znaczy „erudyta alkohologii"? Co to jest alkohologia? Psychologia naprzykład, to znajomość duszy. Alkohologią więc byłaby znajomość alkoholu. Może „antyalkohologia"? Wreszcie trzecia refleksja. „Kurier" pisze: „Pijaństwo degeneruje umysł i ciało mężczyzn i kobiet oraz młodzieży poniżej lat trzynastu". Jak się więc ma sprawa w tym okresie życia ludzkiego, który się zaczyna powyżej lat trzynastu i trwa do chwili, gdy człowiek stanie się mężczyzną czy kobietą czyli trwa dobrych kilka lat? Czy wówczas można pić bez szkody?

Nakoniec, wnioski poważne. Gdy się pisze o alkoholizmie, który jest zaprawdę plagą, trzeba pisać rozumnie. Żadne kursy, alkohologie, erudycje i śluby nic tu nie zdziałają. Jest to zagadnienie skomplikowane. Przyczyn jego trzeba szukać głęboko. Jeśli istotnie powstała Państwowa Rada Walki z Alkoholizmem, to — być może — winna ona przede wszystkim ograniczyć sprzedaż alkoholu. Ale to także tylko paliatyw. Trzeba przebudowywać życie i światopogląd ludzi...

Jerzy Wyszomirski

TAM GDZIE HUCZY NIAGARA

(Rzecz o Polakach w Ameryce)

Kiedy przybyli pierwsi Polacy do Ameryki?

Amerykańska encyklopedia katolicka wspomina, że na sto lat przed Kolumbem, Jan Scolus (Polak: Jan z Kolna) w służbie króla duńskiego dotarł do brzegów Labradoru. Potem w XVI wieku sprowadzono smolarzy z pod Łomży do West Virginii, jako fachowców przy produkcji smoły.

W 17 w. w osadzie holenderskiej Nowy Amsterdam, która się znajdowała w miejscu dzisiejszego New Yorku, na wyspie granitowej Manhattan, gdzie obecnie wznoszą się słynne podniebne drapacze — była szkoła, w której Polak Kurcjusz uczył dzieci polskich robotników. Z tych dawnych czasów polskiej emigracji wywodzą swoje nazwiska niektóre rodziny amerykańskie jak: Zabriske (Zaborowski), Sandusky czy inne.

Murzyn Krzyżanowski burmistrz jakiegoś miasta na południu Stanów Zjednoczonych — ze czcią przechowuje w gablotce szlify oficerskie i szable pradziada Polaka, który przybył z San Domingo z resztą napoleońskich straceńców chorych na żółtą febrę.

Opiekowała się nim w chorobie murzynka. Z wdzięczności ożenił się z nią, a ponieważ krew czarnych silniejsza jest od krwi białych, stąd prawnuk ma czarne oblicze, ale duszę polską...

Oczywiście każde dziecko w Ameryce wie o Kościuszce i Pułaskim. Murzyni tamtejsi mają kult dla Kościuszki. Jest nawet śliczny poemat murzyńskiego poety Abbota, dziennikarza z Chicago na cześć bohatera dwóch światów.

Cytuję z pamięci jego treść: „Dopóki słońce będzie wschodzić na niebie nad szczytami gór, a rzeki będą płynąć do mórz i kwiaty kwitnąć w lecie śród zbóż, jak długo serce bić będzie w piersiach człowieka, dopóki ptaki będą nucić piosenki i wiatr będzie szumiał w borze — tak długo żyć będzie pamięć wielkiego Polaka Tadeusza Kościuszki wśród murzynów w Ameryce".

Po wojnach napoleońskich i walkach powstańczych, każda fala nieszczęść narodowych wyrzucała na brzegi Ameryki, polskich tułaczy. Niestety, ślad po nich zaginął.



Na głowach olbrzymie sombrera — tylko po jasnych oczach i zadzierzystej minie poznać polskiego osadnika.

Emigracja robotnicza rozpoczęła się na dobre dopiero do wojnie Stanów północnych z południowymi.

Pierwsi przybyli murarze z Zagłębia Dąbrowskiego do odbudowy wielkich pieców. Potem Ślązacy z księdzem Leopoldem Moczygębą do Texas. Zabrali z sobą skrzynie z pościelą, naczynia, sprzęty, pługi, koła od wozów, a nawet dzwony kościelne. Założyli szereg osad jak. Częstochowa, Panna Maria, Św. Jadwiga i siedzą tam do dziś dnia. Rozrodzili się, zbogacili na uprawie bawełny i niczym nie różnią się od tamtejszych dawnych plantatorów. Na głowach olbrzymie sombrera, za szerokimi pasami inkrustowane srebrem i złotem pistolety, a na szyjach kolorowe chustki i wielkie dzwoniące ostrogi u butów. Jeno z twarzy ogorzałych na brąz, z jasnych oczu poznać ich z daleka — z tej miny zadzierzystej, z śmiałego wejrzenia, z dumnej postawy. Mają swoje szkoły i kościoły, czytają polskie książki i gazety, należą do organizacji narodowych, kształcą dzieci w średnich i wyższych zakładach naukowych, pamiętają o Polsce i wspierają każdą akcję społeczną na rzecz Macierzy.

Ciekawi to ludzie ci nasi bawełniarze za morzem. Niestety, rzadko kto ich z Polski odwiedza.

Później, po wojnie francusko-pruskiej ruszyli do Ameryki Wielkopolanie, następnie Królewiacy i Małopolanie.

W latach 80-tych dużo chłopów polskich otrzymało bezpłatne kawały ziemi t. zw. homesteady (160 akrów — około 150 mórg) na preriach środkowego zachodu w stanach Minnesota, Wisconsin i hen na zachodzie w North i South Dakota, kędy kompania Northern Pacific budowała kolej przez far west i Góry Skaliste ku Oceanowi Spokojnemu. Niełatwa to była decyzja. Na stepach Ameryki pasły się stada bawołów, hasały antylopy i wyły po nocach, jak i teraz tam wyją kojoty, roiło się w burzanach od kur stepowych, ale też czyhali na blade twarze dzicy władcy tej ziemi — czerwonoskórzy Indianie z najbardziej wojowniczego plemienia Siux.

Nie ulękli się niczego nasi chłopi Kaszubi, Kujawiacy, Wielkopolanie, Mazurzy, Kurpie i Małopolanie. Brali homesteady i pracowali przy kolei, zarabiali, palili prerie, orali, siali pszenicę, polowali, budowali farmy i są dziś niezależnymi gospodarzami, którym tylko ptasiego mleka brakuje.

W owych czasach po wsiach polskich szumiało, jak w ulach na przedwiośniu. Agenci linii okrętowych obiecywali złote góry w Ameryce. Były lata przed wielką wojną, kiedy dziesiątki i setki tysięcy ludzi wyjeżdżały na ocean. Nic nie pomagały lamenty działaczy społecznych, czy nawoływania z ambon kościelnych, że najzdrowsze siły narodu odpływają w świat bezpowrotnie. Chłop polski bezrolny, czy małorolny był głodny, zgnębiony marną dolą, bez nadziei lepszego jutra, szukał ratunku na obczyźnie.

Gorączka emigracyjna ogarnęła wszystkie biedne powiaty, leśne, piaszczyste, bagniste, czy okolice kamieniste podgórskie. Brat bratu, ojciec dzieciom, siostra siostrze, krewni krewnym, przyjaciele przyjaciołom pomagali w wyjeździe, przysyłali karty okrętowe, i nowi wychodźcy jechali na międzypokładach statków, stłoczeni jak śledzie w beczce, znosząc zaduch, złe traktowanie, jedzenie z cebrów, chorobę morską, rozpacz rozłąki z ojczyzną i lęk śmiertelny w czasie burzy...

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Stanisław Gąsiorowski



Osada polska Papagalos Nolas

KREW NA ŚNIEGACH PÓŁNOCY

(Korespondencja własna)

Narwik, wrzesień 1946 r.

Mała mieścina rybacko-handlowa, położona na stoku góry, w którą wciska się morze, tworząc długi rozgałęziony pięciokrotnie fiord. Miasteczko, liczące ze 3 tys. spokojnych nieruchliwych Norwegów, czeka, aż morze zaludni się z powrotem norweskimi okrętami, które zawiną tutaj i ożywią zamierające sklepy.

A w 1940 r. Narwik wzrósł nagle do ośrodka zainteresowania całego świata. Po zajęciu Norwegii przez Niemców, Francuzi zrobili tutaj desant; po ciężkich bojach zdobyli port i miasto, doszli do granicy szwedzkiej, po czym... wycofali się do Francji, która wówczas właśnie przechodziła swoje tragiczne, czerwcowe dni. Wyprawa, przeprowadzona chaotycznie, bez planu i bez przyszłości, przyniosła tylko duże straty w ludziach i w tonażu, i minęła bez śladu w dalszym przebiegu wojny. Jako ślad pozostały tylko cmentarze.

Pod Narwikiem biły się i oddziały polskie — strzelcy podhalańscy. Na dwóch cmentarzach — jednym w Narwiku, drugim nieco dalej na południe — leżą ci, którym przeznaczenie kazało umierać za Polskę pod biegunem. Ludność Narwiku uporządkowała cmentarze; na grobach stoją rzędami krzyże, romantyczne Norweżki w krótkie północne lato przychodzą tutaj, kładąc na mogiłach kwiecie. Niedawno poświęcono tutaj pomnik ku czci poległych Francuzów.

Polacy mają również swój pomnik — czarną marmurową tablicę z białym orłem u góry. „Rodakom poległym w walce o wolność narodów" — czytamy na tablicy. Ten daleki cmentarz na obczyźnie przypomina słowa wiersza z powstania warszawskiego:

Historia kłam zada nam jutro,
Groby nasze wyrówna ktoś obcy.
Dziś walczymy nie mówiąc, że smutno:
My nie wojsko, nie armia—my chłopcy.

* * *

Zdawałoby się, że po ciężkich walkach z portu i miasteczka nic nie pozostało. Tymczasem drewniane domki na paru ulicach Narwiku stoją nieruszone, tylko uliczka przy samym porcie została spalona w czasie odwrotu Francuzów. Jedyny „Hotel Royal" stoi surowy na głównej ulicy „Kongsgatan" i czeka na gości. Rewanż za 1940 r. miał Narwik w kwietniu 1945 r. Ścigane z południa przez flotę angielską trzy krążowniki niemieckie znalazły się tutaj u ujścia fiordu w potrzasku i zakończyły swoją rozbójniczą karierę. Tylko stalowe wieże z odpadniętymi działami sterczą na powierzchni morza.

Norwedzy chętnie opowiadają o dawnych walkach, pokazują Ankennesstrand, gdzie lądował desant. Na zakończenie pokazują duży cmentarz niemiecki z „żelaznymi krzyżami" i swastykami. Pamiętają o tym cmentarzu i pielęgnują groby. Zapytani odpowiadają, że Niemcy też walczyli i też polegli: byłoby profanacją czcić tylko jednych, a zapominać o drugich. I — dodają z przekonaniem — Niemcy byli dobrymi kupcami przed wojną. Ta odpowiedź daje pojęcie o sposobie okupacji Norwegii i o innych zupełnie poglądach i uczuciach, panujących pod kołem biegunowym.

J. K.

Mogiły żołnierzy polskich w Narwiku



KRONIKA KULTURALNA

WARIABILIZM — taką nazwą określa filozofia ową teorię, której twórcą był Heraklit, a która głosi, że istotną cechą rzeczywistości jest zmienność, obrazem zaś jej — rzeka, wiecznie płynąca: „niepodobna wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeczywistości, jak niepodobna wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki, bo już inne napłynęły w nią wody" Wariabilizm wiedzie do relatywizmu czyli do przekonania o względności zjawisk. Podobnie nauczał Ecclesiastes czyli Kaznodzieja Salomonowy w rozdziale III swojej księgi: „Każda rzecz ma swój czas — powiadał — i każde przedsięwzięcie ma swój czas. Jest czas rodzenia i czas umierania; czas płaczu i czas śmiechu; czas obłapiania i czas odchodzenia od obłapiania; czas milczenia i czas mówienia..." Wyostrzonym zmysłem wariabilizmu i relatywizmu odznaczał się Boy-Żeleński; w nim tkwiło źródło jego humoru i dzięki niemu mógł nazywać siebie „Boyem-mędrcem" niby Sokrates. Zmysł relatywizmu podsuwał Boyowi tytuły jego felietonów — zawsze aktualne i intrygujące. Dzisiejsi wydawcy Boya nie mają tego zmysłu: nie wiedzą, że jest czas płaczu i czas śmiechu, czas milczenia i czas mówienia; że nigdy nie można dwukrotnie wstąpić do tej samej rzeczywistości. Na wystawach księgarskich widzimy tom felietonów Boya. Nosi on tytuł, wielkimi literami odbity, rzucający się od razu w oczy: „Nasi okupanci". Przy ogólnym upadku kultury, kto — zwłaszcza z młodego pokolenia — pamięta ten tom, wydany przed 15-tu laty? „Pewnie coś o Niemcach" — słyszy się więc uwagi oglądających, przede wszystkim młodzieży. A jest to książka o duchowieństwie i o rozwodach, które przed 15-tu laty możliwe były tylko przy zmianie wyznania, dziś zaś nie nastręczają większych trudności. Entuzjastyczna recenzja o tej książce w jednym z pism zatytułowana została „Piekłem kobiet", bo tak nazywał Boy położenie kobiety, która nie mogła uzyskać rozwodu. Dziś czytelnik, spojrzawszy na ten tytuł, mówi: „pewnie znowu coś o Ravensbrück"— i nie czyta recenzji. Albowiem: jest czas obłapiania i czas odchodzenia od obłapiania — z czego zdawał sobie sprawę Boy — mędrzec, lubiący ten werset powtarzać. Toteż dzisiaj dla książki swej wymyśliłby pewnie tytuł inny, bardziej podniecający i relatywny — on, który już w r. 1933, gdy zaszła potrzeba nowego wydania „Piekła kobiet", pisał z uśmiechem we wstępie do niego, że czuje się zakłopotany, bo książka jest „potrosze przedawniona".

SOLVITE MIHI hunc syllogisum—rozwiążcie mi ten sylogizm: z taką propozycją zwracał się do swych słuchaczów średniowieczny scholasta, zadając im zawiłe kazuistyczne pytanie, np.: jakiego gatunku było jabłko, które wąż dał Ewie w raju? Ano, nie było ani ananasówką, ani papierówką, ani tyrolskim, ani węgierskim, tylko jabłkiem winnym, bo sprowadziło winę rodzaju ludzkiego. Z podobną propozycją możnaby się zwrócić do teatrologów. Dlaczego, gdy teatry łódzkie wystawiały „Elektrę" albo „Fantazego", i gdy ich doradcą literackim był dr. Bogdan Korzeniewski, pisarze postępowi (np. St. Ryszard Dobrowolski, Żółkiewski, Ważyk i in.) określali powyższe sztuki jako „niezrozumiałe" i „tak elitarne, że dostępne zaledwie dla garści wybranych", a wobec tego nadające się do „szacownego lamusa ideowego". W „robotniczej Łodzi" — pisali — nie miejsce na takie sztuki: to rzeczy dla zgniłej inteligencji, teatr powinien być dla mas pracujących, dla szarego obywatela. Dlaczego więc teraz, gdy teatry łódzkie, których kierownikiem literackim jest St. Żółkiewski, wystawiają sztuki dla mas, jak „Wielkanoc" i „Stary dworek", dlaczego pisarze postępowi, jak Żółkiewski, dowodzą w swych artykułach, że teatr powinien być dla inteligencji? (Por. artykuł St. Żółkiewskiego p.t. „Teatr inteligencji polskiej" w „Głosie Ludu" Nr. 282/670). Solvite mihi hunc syllogismum.

St. Łatko

SPÓŁDZIELCZOŚĆ SPOŻYWCÓW W NOWEJ POLSCE

(Ciąg dalszy)

Tam, gdzie robotnicy i pracownicy umysłowi wzięli w swe ręce zarządy spółdzielni tam spółdzielnie przeciwdziałają spekulacji, tam są ceny stosunkowo niskie, spółdzielnie dostarczają swoim członkom po umiarkowanych cenach chleb, mąkę, kaszę, cukier i t.p. artykuły. Mamy dobre przykłady gospodarki robotniczych spółdzielni spożywców w Katowicach, Łodzi, Żyrardowie, Lublinie, Poznaniu.

W spółdzielniach, gdzie pracujący nie interesują się jeszcze, względnie mało interesują się spółdzielczością, pokutuje duch kupiecki. Stosuje się duże marże zarobkowe, hołdują się wielkiej rentowności i klasycznej zasadzie mieszczańskiej spółdzielczości angielskiej — sprzedaży po cenach rynkowych. W polskich warunkach, gdy ciężar odbudowy kraju spadł w największej mierze na warstwy pracujące i stąd jeszcze nie wystarczający poziom płac i przy tym, że spółdzielnie spożywców ze względu na swój mały stan posiadania sklepów, bo niewiele ponad 11 tysięcy do 125 tysięcy prywatnych, właściwie nie są obecnie głównymi regulatorami cen — zasada ta nie może być przyjęta, jest wręcz szkodliwa. Podobnie jest w czasie zwyżek cen, gdzieniegdzie hołduje się tzw. „prawu odkupu", ochoczo podnosząc ceny, a opornie obniżając je przy ich spadku.

Niektóre spółdzielnie i spółdzielcy, niepomni, że zadaniem ich i wielką troską winno być zaspokojenie potrzeb zrzeszonych członków, robotników, pracowników umysłowych, celowe zaopatrzenie ich po tanich cenach w jakościowo dobry towar— stanęły do startu na polu wyścigowym cen, jakie w Polsce istniało i jeszcze istnieje na odcinku art. żywnościowych. Kres temu, wysokim cenom, jednak kładzie działalność szybko uruchamianych komisyj cennikowych w całym kraju, które starają się regulować odpowiednio poziom cen.

Świat pracy umysłowej i fizycznej, ruch zawodowy i polityczny, musi bliżej zainteresować się ruchem spółdzielczym, by zdrowe zasady gospodarki i głęboka troska o warstwy pracujące, które są członkami, zadominowały w nim.

By powszechne spółdzielnie spożywców mogły taniej i lepiej zaspakajać potrzeby swoich członków, by mogły właściwie organizować spożycie, usuwać wyzysk i zbędne, kosztowne pośrednictwo nadmiernego aparatu dystrybucji, usuwać spekulacyjny zysk prywatnego producenta — winny w szybkim tempie przystąpić do realizacji zakreślonego planu rozwoju swego. Plan ten przewiduje założenie jednego sklepu spożywczo-kolonialnego na każde 1000 mieszkańców, 1-go sklepu włókienniczego na każde 10.000 mieszkańców, oraz przewiduje założenie w każdej gminie i mieście piekarni i masarni oraz składy opałowe. Uwzględniając obecny stan placówek spółdzielczych wypadnie konkretnie do uruchomienia około:

2500 sklepów kolonialno-spożywczych w miastach,

8500 sklepów kolonialno-spożywczych na wsiach w ramach gminnych spółdzielni „Samopomoc Chłopska"),

700 sklepów włókienniczych w miastach,

3000 piekarni i masarni w miastach i gminach,

500 składów opałowych, narazie w miastach.

Dla realizacji tych zadań i planu rozbudowy, rozpoczął się masowy napływ członków do spółdzielni, kierowany przez związki zawodowe, tak pracowników umysłowych, jak i fizycznych, i polityczny ruch robotniczy. Podobnie jest na wsi. Członkowie wpłacają udziały od 100 do 500 zł. Fundusze zebrane w ten sposób jednak nie wystarczą. Trzeba będzie zapewnić poprzez Bank Gospodarstwa Spółdzielczego kredyty państwowe, tak inwestycyjne, jak i obrotowe. Potrzebną ilość lokali władze będą musiały wykroić ze stanu posiadania tej niezdrowej, spekulacyjnej części inicjatywy prywatnej. W poczuciu odpowiedzialności za plan i jego wykonanie Związek „Społem" powołał do pracy cały sztab instruktorów organizacyjnych w terenie, oczekuje się jeszcze współpracy Związku Rewizyjnego.

Wykonanie planu, stopniowo realizacja wymagała będzie także przestawienia pracy gospodarczej Związku „Społem" na pełniejsze zaopatrzenie spółdzielni, a nawet na materialną pomoc spółdzielniom w okresie rozbudowy.

Józef Niemier

NA POMOC KOTLINIE

W miejscowości Kotlina w Karkonoszach, o 3 km od stacji Wieniec-Zdrój, natknąć się można na potężny kompleks budynków, malowniczo rozłożonych na lesistej skarpie wzgórza o nieustalonej nazwie.

W odległości jeszcze bodaj 200 m. wszystko wydaje się być w porządku. Biało tynkowane budynki świecą ocalałymi szybami, dachy nie zdradzają najmniejszych uszkodzeń. Tu przecież wojna nie dotarła.

Ale już u bramy wejściowej na teren Zakładu widać, że nie wszystko jest w porządku: w eleganckiej portierni — pustka. Ta sama pustka na tarasie przed jadalnią i na podwórku wewnętrznym. Piękne niegdyś gazony i kwietniki niemile uderzają dwuletnim zaniedbaniem: wśród chwastów nieśmiało różowiały zdziczałe astry.

Jeden z czterech budynków zakładowych.





Taras przed wejściem do jadalni.

Ponadto jednak zewnętrznie wszystko wygląda tak, jakby poprzedni gospodarze Kotliny opuścili sanatorium przed paru godzinami, co zresztą sprawdzić można na obu zdjęciach. Dopiero spojrzenie przez zakurzone szyby nieco rozczarowuje. I tam jednak sytuacja względnie niezła: brak zapewne cenniejszych drobiazgów, duża ilość mebli gwarantuje jednak możliwość natychmiastowego zamieszkania.

Uczucie żalu, z jakim opuszcza się teren zakładu, jest podwójne: że niepilnowane sanatorium z dnia na dzień niszczeje, oraz że w ciągu dwu niewyzyskanych lat mury te nie przyjęły ani jednego kuracjusza, spragnionego zdrowia i słońca.

Pora zająć się Kotliną! **J. Pl.**

MY SAMI W NOWEJ GOSPODARCE

VI. INICJATYWA I „INICJATYWA"

WALKA O FORMY — WALKA O TREŚĆ

Reforma rolna, unarodowienie przemysłu, naród pracujący — gospodarzem, nowy gospodarz — nowe cele gospodarowania, nowy ustrój... to wszystko prawda i to wielka. Tak już jest, że łatwiej widać prawdę, kiedy się patrzy na formy; trudniej, kiedy się patrzy na treść. Widzimy dokoła walkę o nową formę ustroju społecznego Polski. Nie widzimy innej walki, która się przecież toczy — walki o treść. Walki o nowego człowieka, który ma w nowych formach żyć i pracować.

Formy ustrojowe są rzeczą ważną. Od nich zależy, ile energii ludzkiej będzie można wyzwolić, i dla jakich celów. Ale napewno niemniej ważna jest treść — przygotowanie energicznego człowieka, zdolnego do wlania swej energii w nowy mechanizm życia. A więc inicjatywa. Znowu inicjatywa.

INICJATYWA, CZY TYLKO INICJATYWA PRYWATNA?

Dla ogromnej większości z nas, przywykłych patrzeć na świat przez zapocone okna kapitalistycznej rudery, inicjatywa, to wiadomo — „inicjatywa prywatna". Inicjatywa dla zysku. Inicjatywa przedsiębiorcy dla siebie samego. I o tej inicjatywie prywatnej dyskutuje się dziś, kiedyśmy się wyrwali z murów kapitalizmu, aż do znudzenia. Prasa, kongresy, ministrowie — wszyscy o inicjatywie prywatnej. Jakby tu tkwiło sedno kapitalnej sprawy inicjatywy w nowym ustroju. A przecież inicjatywie prywatnej pozostało tylko pólko, i to nie pierwszej klasy, naszego gospodarstwa społecznego. A przecież — co tu dużo mówić — pozostawiliśmy ją bez entuzjazmu. Właśnie jako dodatkowy, wcale nie główny, prąd energii. Pozostawiliśmy ją tylko pod warunkiem, że będzie służyć gospodarzowi — narodowi pracującemu — że nie będzie sama gospodarzem.

Co ważniejsze w gospodarce — inicjatywa gospodarza, czy inicjatywa sługi?

NOWY GOSPODARZ — NOWA INICJATYWA

Na tym polega w gospodarce rewolucja polska, że na czele gospodarstwa narodowego staje nowy gospodarz — naród pracujący czyli lud. On ma rządzić, jemu ma gospodarka służyć.

Nowy gospodarz, nowa energia — nowe cele gospodarowania. Sens narodowy każdej wielkiej rewolucji, każdego rodzącego się ustroju polega na tym, że wyzwala ujarzmioną dotychczas energię młodych warstw społecznych; że, po drugie, kieruje tę energię w większym stopniu dla dobra narodu, niż chcieli i umieli dawni panowie ustroju rozpadłego.

Wszystko się w Polsce robi po to, żeby wyzwolić inicjatywę mas pracujących, dotąd wyzutych z decyzji, i żeby tę inicjatywę skierować dla dobra narodu, którego pojmujemy jako dobro narodu pracującego — ludu, a więc takie, jakie on sam w sobie nosi jako ideał.

Wyzwalamy — bo dajemy ludowi do dyspozycji miejsce gospodarza, aby po swojej myśli i dla swego dobra mógł kierować. Chodzi teraz „tylko" o inicjatywę samego gospodarza.

NOWY GOSPODARZ — NOWE CELE

Cele inicjatywy gospodarczej w nowym ustroju muszą być nowe. Wiemy, że celem nowej gospodarki jest służba narodowi pracującemu; że dotychczasowego celu gospodarowania — zysku każdego przedsiębiorstwa osobno — nie można pogodzić ze służbą narodową. Że dla podniesienia dobrobytu całego narodu, nie mówiąc już o celach wyższych i gospodarczych, niektóre przedsiębiorstwa, niektóre gałęzie gospodarki mogą, a często powinny pracować poniżej kosztów, a więc ze stratami. Ogólnie, dla większości przedsiębiorstw w nowej gospodarce Polski — celem musi być służba społeczeństwu.

BŁĘDNI RYCERZE I RYCERZE PRZEMYSŁU

To niemożliwe — odpowiada wielu jeszcze wychowańców kapitalizmu: tylko zysk, korzyść osobista — były, są i będą głównym celem i motorem inicjatywy gospodarczej człowieka.

Nieprawda: nie zawsze były, nie zawsze są i w ustroju kapitalistycznym, i wcale nie muszą być na przyszłość. Jest prawdą, że człowiek chce się utrzymać ze swej działalności gospodarczej. Chce żyć. Ale prawdę powiedziawszy, praca po to, aby tylko żyć, nie jest jeszcze inicjatywą. To po prostu instynkt samozachowawczy. Taką „inicjatywę" przejawia i wół. Twórcza inicjatywa zaczyna się, kiedy przestaje burczeć żołądek, a zaczyna pracować mózg i serce. Nie głód, ale zapał tworzy naprawdę. A co wywołuje zapał — to zależy od epoki i od sposobu myślenia społeczeństwa. Społeczeństwo cenił zwykle tę twórczość, która mu w danej epoce jest najbardziej potrzebna, aby pójść naprzód. A zainteresowanie społeczeństwa — wywołuje zapał jednostki.

Był czas rozwoju religijnego, kiedy mir mieli asceci; wówczas ascetami stawali się najlepsi. To był cel inicjatywy. Był czas, kiedy ideałem był rycerz — czasy inicjatywy błędnych rycerzy. Były także czasy inicjatywy rycerzy przemysłu. Gwałtowna rozbudowa gospodarcza była potrzebą rozwojową społeczeństwa. Zysk był widomym znakiem powodzenia w tej rozbudowie. Zysk stał się celem inicjatywy. Nie zysk — jako sama korzyść gospodarcza, jako źródło dochodu tylko. Zysk jako miara znaczenia, władzy, twórczości. Wielka inicjatywa kapitalistyczna — to nie inicjatywa sklepikarza, który z zysku opędza z trudem codzienne potrzeby; to inicjatywa przemysłowca, bankiera, który tworzy dla jeszcze większego zysku, choćby nawet małego aby starczyło mu na luksusowe życie. Przyszły czasy inicjatywy gospodarczej w służbie społeczeństwa. Bo takiej inicjatywy potrzeba społeczeństwu dzisiejszemu, społeczeństwu pracujących.

WYCHOWYWAĆ

Człowieka zdolnego do takiej inicjatywy trzeba wychować. Co to znaczy? To znaczy trzeba, żeby społeczeństwo nauczyło się właśnie taką inicjatywę cenić. Żeby dzisiejsze społeczeństwo pracujących nauczyło się stawiać cele służącej mu gospodarce. I trzeba, żeby jednostka nauczyła się tworzyć w służbie społecznej. Krótko — trzeba wychować lud na gospodarza gospodarki narodowej, i trzeba wychować jednostki zdolne do twórczej służby gospodarczej ludowi.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ WYCHOWUJE GOSPODARZY

Lud jest założycielem i gospodarzem przedsiębiorstw spółdzielczych. Pracujący nie tylko kupowali u nich, ale gospodarowali i uczyli się gospodarować. Walne zebranie spółdzielni, to nie tylko szereg decyzji — to szkoła. Decydowanie i odpowiedzialność były zawsze najlepszą szkołą gospodarzy i władców. W szkole, jaką jest Walne Zgromadzenie Spółdzielni, nie chodzi tylko o kształcenie techniczne — o pierwsze pojęcie o buchalterii, kontroli i gospodarce przedsiębiorstwa. Chodzi o umiejętność formułowania, wypowiadania i narzucania swych potrzeb i celów przedsiębiorstwu. To pierwszy kurs rządzenia. Najpojętniejsi uczniowie przechodzą na kurs następny — do władz spółdzielni: w Radzie Nadzorczej postępuje wykształcenie techniczno-gospodarcze. Jednocześnie, — częściej, głębiej, systematycznie i odpowiedzialnie trzeba decydować. Trzeba już myśleć o polityce przedsiębiorstwa. Trzeba na codzień dopasowywać jego pracę do potrzeb i celów wszystkich członków. W zarządzie spółdzielni wykształcenie i wychowanie postępuje dalej. Tu już mamy szkołę bezpośredniego gospodarowania.

Tyle w skali jednej spółdzielni. Ale tu nie urywa się wychowanie pracujących na gospodarzy. Przychodzą zgromadzenia powiatowe, wojewódzkie, wreszcie zjazd centralny. Od wąskich spraw grupy chłopów czy robotników, przechodzi się do coraz szerszych. Sprawy gminy widzi się na szerszym i głębszym tle — wreszcie na tle całej gospodarki narodowej. Wreszcie delegaci tych wielkich zgromadzeń wracają na walne zebrania swych spółdzielni i zdają sprawę z przebiegu i uchwał zjazdów. Uczą się miliony pracujących, jak wyglądają ich dążenia w mechanizmie gospodarki narodowej. Taka jest wielostopniowa szkoła spółdzielcza, przygotowująca warstwy pracujące do roli zbiorowego gospodarza gospodarki narodowej.

KARIERA PUCYBUTA I SŁUŻBA SPOŁECZNA

Znamy z prasy i broszurek ideał kariery kapitalistycznej. Był sobie biedny chłopiec, który w Nowym Jorku czyścił buty... Zarabiał dolara dziennie. Nie wydawał wszystkiego. Potem kupił... potem wynajął dwóch innych chłopców i odkładał już... i kupił... i odkładał... i założył, i odkładał, założył i odkładał, i dziś jest właścicielem wielu, wielu akcji i odkłada miliony. Bajeczka narazie skończona i morał: odkładaj i kupuj, żebyś mógł więcej odkładać, a będziesz wielkim człowiekiem. Tak wychowuje kapitalizm.

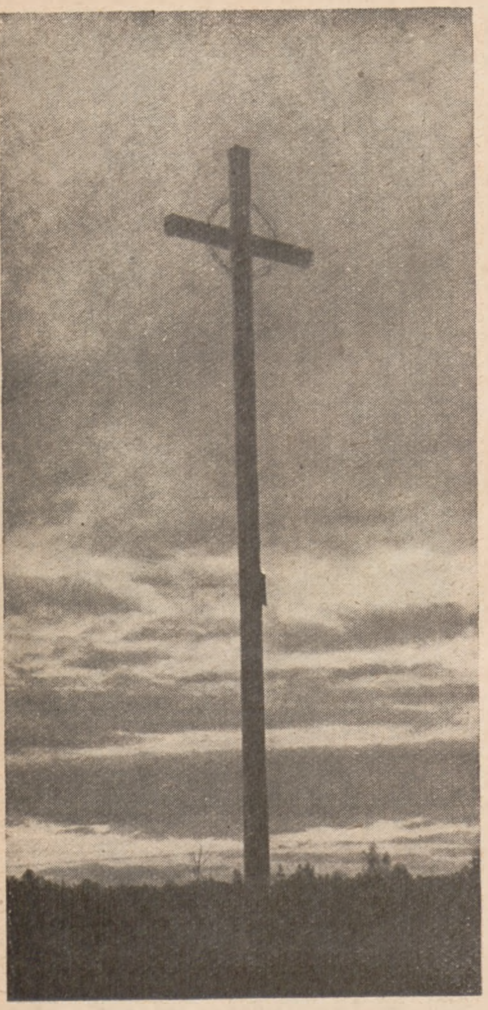
Spółdzielczość nie jest drogą indywidualnego bogacenia się jednostek. Kiedy pewien biedny chłopiec zaczyna karierę za ladą sklepową, nie mówi mu się: pracuj, abyś się wzbogacił i mógł nie pracować. Mówi mu się: pracuj, aby lepiej było tym po przeciwnej stronie lady, a tobie razem z nimi, nie osobno. I żebyście mogli zawsze razem pracować. Ten tłum — to są twoi chlebodawcy. Kiedy będziesz pracownikiem, a może dyrektorem Związku Spółdzielczego oni i miliony ich, miliony pracujących, będą dalej twymi chlebodawcami. Oni — cały naród pracujący. Będziesz wielki, jeżeli jem będziesz umiał dobrze, twórczo służyć. Twoja kariera zależy tylko od tego. Zawsze służba społeczna, zawsze pod kontrolą społeczną.

Tak wychowuje spółdzielczość. I dlatego spółdzielczość jest szkołą nowej inicjatywy. Tego nam dziś potrzeba nie mniej niż nowych form ustrojowych. c. d. n.

Adam Rapacki

...ZA TYCH SPÓŁCHRZEŚCIJAN DUSZE

ADAM MICKIEWICZ · DZIADY · CZ. IV



Dzień dzisiejszy Kościół święci za tych spółchrześcijan dusze, którzy, spomiędzy nas wzięci, czyśćcowe cierpią katusze: za nich ofiarujmy Bogu". Temi słowy Ksiądz w IV części „Dziadów" objaśnia dzieciom, co to jest dzień Zaduszny. Gdy on tak mówi w swej ciepłej i oświetlonej izbie, kędyś w ciemnościach, śród mgły, nocy i wiatru, w listopadowym szumie drzew podąża na cmentarz gromada wieśniaków, niosąc jadło i napoje. Przewodzi jej Guślarz, szepcąc tajemniczo: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie. Z czujnym słuchem, z bacznem okiem śpieszmy się w tajnym obrzędzie, z cichem pieniem, wolnym krokiem. Nucimy piosnkę żałoby: ze łzami idziem na groby". Gdy gromada przyjdzie do kaplicy cmentarnej, gdy zawiesi w jej oknach całuny, zamknie drzwi i stanie dokoła trumny, Guślarz zaintonuje swoje wezwanie: „Czyśćcowe duszeczki! W jakiejkolwiek świata stronie... każda śpieszcie do gromady! Gromada niech się tu zbierze. Oto obchodzimy Dziady. Zstąpujcie w święty przybytek. Jest jałmużna, są pacierze, i jedzenie i napitek".

Tak się rozpoczyna misterium nocy zadusznej. Tam, w izbie Księdza, symbolicznie: Ksiądz otwiera księgę i odczytuje „stosowną naukę", podobnie jak się to czyni dnia tego we wszystkich kościołach na świecie: czyta się stosowne nauki, śpiewa się jutrznię żałobną czyli wigilje, odprawia się msze święte i modły za dusze wiernych zmarłych. W kaplicy cmentarnej pod przewodem Guślarza, odbywa się misterium realne: oprócz modłów daje się duszom cierpiącym rzeczywiście jadło i napój, i oczom rozmodlonej gromady rzeczywiście ukazują się dusze z tamtego świata: tak silna jest jej wiara w związek dwóch światów: tego, w którym bytujemy teraz, i tamtego, dokąd tyle dusz ludzkich już przeszło, i dokąd my sami przejdziemy. Jest to wiara powszechna i stara jak ludzkość. Kroczy ona poprzez wieki, przybierając różne postaci i odcienie: u ludów pierwotnych miewa postać animizmu, tabuizmu czy totemizmu; u Babilończyków była kultem ponurym, wedle którego każdy, kto przechodzi wrota śmierci, jest zatracony; znali ją starożytni Egipcjanie, a Hindusi uczynili z niej metempsychozę; Japończycy nadali jej radosne cechy czci przodków; u Rzymian nosiła charakter poważny i znalazła swój wyraz w dorocznym obchodzie parentaliów czyli dni Zadusznych, kiedy się dokonywało pojednanie żyjących z cieniami zmarłych; Grecy świętowali taką samą uroczystość, którą nazywali nekysija... Gdziekolwiek krzewi się życie ludzkie, wiara i związek dwóch światów istnieje. I niejedna wielka idea metafizyczna, sławiona w filozofii jako szczyt myślenia ludzkiego, w ostatecznych swych podstawach tkwi w tej wierze — np. platońska idea dobra, prawdy i piękna. I wreszcie wiara ta uświęcona została przez chrześcijaństwo „w obcowaniu świętych, w modłach za zmarłych, w jedności Kościoła wojującego na ziemi z tryumfującym w niebiosach". A zrodziły ją — jak powiada oryginalnie pewien filozof ateistyczny (Auguste Dide) — „tęsknota nienazwana, ból nieukojony, prawa naruszenie".

Dziś nie obchodzimy Zaduszek tak, jak obchodził je niegdyś lud prosty, jak je przedstawił Mickiewicz. Nie urządzamy uczty dla „dziadów". Nie niesiemy na cmentarz naczyń z jadłem „dla nich". Po powrocie do domów nie palimy w łaźni i nie wołamy: „Dziady, pradziady, myć się przychodźcie, jeden drugiego za rękę przywodźcie". Takie obrzędy widział jeszcze w dzieciństwie swym Mickiewicz. I zupełnie podobne odprawiano na drugim krańcu Europy, we francuskiej Bretanii, w noc listopadową, zwaną nocą zmarłych — „La nuit des morts". W izbach rozniecano duży ogień, aby dusze zmarłych przyszły się ogrzać. Stawiano butelkę wódki, tak samo jak Guślarz mickiewiczowski rozkazuje: „stawcie w środku kocioł wódki.. niechaj się wódka zapala". I jak w mickiewiczowskich „Dziadach" krążyły po wsi chóry śpiewające, tak po wsiach bretońskich przez całą noc chodziły chóry, złożone ze starców, z kobiet i z młodzieńców, zwane śpiewakami śmierci — „chanteurs de la Mort" — i nawoływały żywych do uczczenia zmarłych. Dziś — z ognisk, z płonącej wódki, z rozpalonych łaźni pozostał nam jeden symbol: lampki i świece rozpalane na cmentarzach.

Uzmysławiają one światłość wiekuistą. Z lampek i świec unoszą się lekkie dymki; mgiełki tych dymków — niby dusze ludzkie, jednocząc się z blaskiem, tworzą nad mogiłami jarzącą się szreżogę, widną już zdala, w której cały cmentarz migoce i taki się wydaje drgający, jak kształty rzeczy, oglądanych poprzez dym wiszący nad ogniskiem polnym. Cmentarz niby majaczeje w poblaskach, wionie ciepłem, jesienną wilgocią, szelestem zwiędłych liści i nieprzerwanym szmerem cichych kroków tych ludzi, którzy przyszli tu, aby się zespolić duchem ze zmarłymi i pomyśleć przez chwilę o wieczności, o nieskończoności. Oprócz świateł niosą oni ze sobą wieńce — jedlinowe, świerkowe i sosnowe. Ich zapach jest zapachem dnia zadusznego. Wiecznie zielone gałęzie iglaste, zachowując świeżość swej barwy, są — podobnie jak światła — oznaką nieśmiertelności.

Dziwne jest słowo „cmentarz". Ni to obce, ni to polskie. Gdzie niegdzie lud mówi u nas jeszcze: mogilnik albo mogiłki. Słowo „cmentarz" ma dużo odmian. Mówią: cmętarz, cmątarz, cmyntarz, cmetarz i cyntyrz, a nawet cmentach. Jest to wyraz pochodzenia greckiego: z „koimeterion" język łaciński utworzył formę „cimeterium", którą nasz język przeobraził w „cmentarz". Po grecku i po łacinie słowo to znaczyło pierwotnie „sypialnię" i „miejsce spoczynku". Ale w wyobraźni naszego ludu „cmentarz" począł się utożsamiać ze „smętkiem" czyli ze smutkiem, stąd też u ludu w użyciu są takie określenia, jak smętarz i smyntarz. Jest to rzeczywiście miejsce smutku.

Dużo jest na świecie cmentarzy. Są wśród nich rozmaite. Są takie, jak paryski Pere Lachaise, któryby można nazwać cmentarzem-salonem, tak jest pięknie urządzony, zdobny w cenne pomniki i nagrobki, tak zawsze gwarny i ożywiony, pełen turystów i zwiedzających; są cmentarze włoskie z cyprysami i marmurami, bogate w cudowne dzieła sztuki, jak Campo Santo w Pizie, które jest niby klasztorem, okolonym ze wszystkich stron arkadami, albo jak genueński cmentarz Staglieno — olbrzymi i tak rozplanowany jak ogród prześliczny; są warszawskie Powązki — wielkie miasto umarłych; są polskie cmentarzyki wiejskie, z drewnianym murszejącym płotkiem, ciasne od zarośniętych trawą mogiłek, na których butwieją niskie drewniane krzyżyki bez napisów, — cmentarzyki gdzie nie ma alei, gdzie wija się tylko kręte ścieżki między grobami, a na ścieżkach płaczą brzozy albo szumią sosny, a nad niemi kraczą nieustannie wrony. Każdy z nas ma swój cmentarz ukochany: ten, gdzie spoczywają nasi najbliżsi. Wielu z nas będzie mogło odwiedzić go w Zaduszki. Inni nie uczynią tego, bo szczątki ich bliskich rozproszone są po świecie. Ja mam dwa swoje cmentarze. Jeden — w niewielkim mieście, gdzie spędziłem dzieciństwo. Przemawiał on do imaginacji dziecięcej ogromem rzeczy nieznanych i budzących przerażenie; niepokoił swą starożytną kaplicą, przez której zakratowane okna widać było zawsze stojący wewnątrz czarny katafalk, a nad drzwiami jej umieszczony był upominalny, zagadkowy napis łaciński: „Tempus fugit, aeternitas manet" — czas ucieka, wieczność czeka.

• • •

Wojna wypełniła nasz kraj i świat niezliczoną ilością nowych cmentarzy. Są śród nich cmentarze żołnierskie z krzyżykami, na których pozatykano hełmy bojowe; są bolesne cmentarzyska obozów koncentracyjnych; są Majdanki i Treblinki, które zabiły miliony ludzi, innej niż my wiary, lecz jednakich człowieczeństwem i cierpieniem; są bezimienne, przez wiatr rozmiecione, popioły tych, których spalone zwłoki — jak proch, jak kurz mieszały się odrazu ze świętą ziemią; są cmentarze w głębinach mórz i cmentarze w gruzach i rumowiskach miast, zburzonych do fundamentów. Nie ma dziś miejsca w ziemi żywicielce naszej, gdzieby nie wsiąkła krew ludzka, nie wdeptano kości ludzkich.

Jednym ze straszliwych cmentarzy wojennych są Palmiry. Nazwa ich pochodzi od dr. Palmirskiego, który leczył tu chorych na wściekliznę. Ale jest ona blizej egzotyczna, znacznie bardziej obca, niż owe Marymonty, Żoliborze, Wilanowy czy Belwedery, które biorąc swe źródło w języku francuskim czy włoskim, stały się już polskie, świadcząc tylko o nierozerwalnych związkach kultury naszej z Zachodem. Palmira... Było takie państwo w starożytności — miasto palm, którego rozkwit był wspaniały, lecz krótki pod rządami mądrej i wojowniczej królowej Zenobii. Dziś ma ono tylko sławę ruin, które dźwigają na sobie 1800 lat, i ma tylko cmentarzysko z grobami skalnymi. Nazwa Palmir kojarzy się mimowoli z tamtą, umarłą Palmirą. A może i tu była niegdyś palmiarnia? Palmiry bowiem, to już początek rozległej ongi puszczy Kampinowskiej, która zajmowała obszary między Wisłą a dolną Bzurą i Utratą, sięgając po samą Warszawę. Tu Władysław Jagiełło, wracając spod Grunwaldu, cztery dni polował na żubry, gdy się zatrzymał u siostry swej Aleksandry, żony Ziemowita IV Mazowieckiego, księcia na Płocku, Rawie i Sochaczewie. Jan III, August II, August III i Stanisław August urządzali tu łowy na łosie i jelenie. Może który z nich, tutaj gdzie odsłaniają się Palmiry, wystawił sobie dwór myśliwski dla rozrywki i wypoczynku, a przy nim fantazja mu przyszła założyć cieplarnie i oranżerie — w haszczach i kniejach ówczesnych? Dziś z wielkiej puszczy pozostały tylko strzępy i szczątki, i takim szczątkiem są Palmiry — pamiątka jednego z niezliczonych męczeństw polskich czasu obecnej wojny.

Jedzie się tam przez Żoliborz, w kierunku na Bielany i Łomianki. Po drodze mijamy pewną osobliwość — mały cmen-

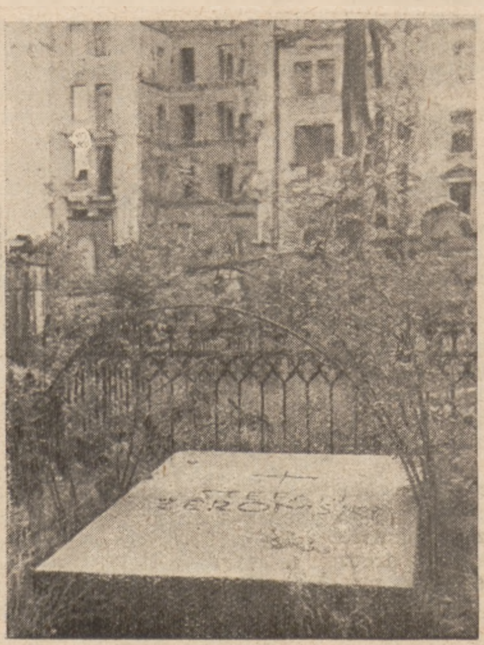
Grób prof. Mariana Rapackiego, poległego w powstaniu warszawskim



Grób Macieja Rataja w Palmirach



Grób Stefana Żeromskiego na tle ruin Warszawy



Bezimienna mogiła





Mogiła Mieczysława Niedziałkowskiego



Fragment wojskowego cmentarza na Powązkach w Warszawie



Rozbity w czasie powstania grobowiec

tarz żołnierzy włoskich z okresu pierwszej wojny światowej. Położony w niejakiej odległości od drogi, uderza swym nietutejszym wyglądem: otoczony niskim białym murem, ma wejście, kształtem naśladujące jednobramny łuk Tytusa na Forum Romanum. Rosną na nim rzędami strzeliste włoskie topole, kołysane polskimi wiatrami. Cmentarz miga szybko w oczach, jak zjawa słonecznej Italii. Dalej w lewo, na zakręcie, drogowskaz oznacza drogę do Palmir. Z asfaltu zjeżdża się na drogę boczną moszczoną zwykłym brukowcem, wyboistą, od dawna nienaprawianą. Samochód trzęsie się wciąż i kołuje, wybierając lepsze miejsca. Tędy wożono skazańców. Czy w ciężarówkach, okrytych szczelnie brezentem? Czy w samochodach więziennych, jak w pudłach zamkniętych? My zwalniamy biegu, gdy wyboje są zbyt wielkie. Czy jadąc z nimi, zwalniano także? Czy też pędzono co prędzej, co prędzej, nie bacząc na dziury, by jak najszybciej przybyć na miejsce kaźni?



Ogólny widok cmentarza w Palmirach

Droga wije się śród lasków. Tu i tam, na lewo i na prawo, widać jak gdyby polanki czy wyręby, a w nich resztki jakichś fundamentów i baraków; w jednym miejscu wala się trochę pocisków i min: tu były jakieś wojskowe budynki niemieckie, składy broni, strażnice i czatowiska: przecie puszcza, acz wytrzebiona, kryła w sobie niejeden matecznik chłopców leśnych. I nagle otwiera się przed nami szeroka perspektywa. Na lewo od drogi niski i rzadki lasek, na prawo — krzaki i drobny gąszcz. Przed tym gąszczem, na wprost, na wydmie, wyrasta wysoki krzyż drewniany, na przecięciu swych ramion uwieńczony cierniową koroną z drutu kolczastego. To są Palmiry. Wysiadamy. Idziemy na prawo, przez krzewy i zarośla. Dostrzegamy, że wycięty jest śród nich w pewnym miejscu rodzaj alei, wiodącej pod kątem prostym do drogi. Widzimy, jak się zdala palą ogniska pod ścianą drzew, i koło ognisk krzątają się ludzie. To robotnicy, porządkujący plac palmirski, który dopiero zaczyna przeistaczać się w cmentarz. Dzień jest chłodny i wietrzny, zaduszny dzień; taki ten dzień wspominków być powinien: kończy się już jesień, która jest okresem obumierania i nie ma jeszcze zimy, która jest śmiercią — dzień na pograniczu gasnącego życia i nadchodzącej śmierci.

Cmentarz palmirski można ogarnąć jednym spojrzeniem. Jest to piaszczysta przestrzeń, poza którą, dalej, widnieje wysokopienny las sosnowy pod zachmurzonym niebem. Na tej przestrzeni ciągną się, równolegle do drogi, ni to grzędy, ni to zagony — powiedzielibyśmy, gdyby nie wysterkały na nich tu i tam krzyże i krzyżyki. Zagony — przygotowane niby pod kwiaty czy warzywa w ogrodzie, tylko, że nie z czarnej urodzajnej ziemi, lecz z żółtego piasku. Są one długie i jest ich dużo, a pomiędzy niemi biegną wąziutkie ścieżki. Zagony są świeże, gładko wyrównane i pooklepywane łopatami. Tu i tam, w jednych miejscach gęsto, w innych rzadko, gdzie indziej pojedyńczo, stoją na nich większe i mniejsze krzyże, przeważnie brzozowe. Na niektórych z nich przybite są tabliczki z imieniem, nazwiskiem i datą śmierci bohatera ,niekiedy z jakąś sentencją religijną, z nawoływaniem patriotycznym. Daty na wszystkich niemal te same: albo luty 1940 r. albo — głównie — czerwiec 20-ty i 21-y tegoż roku. Inne krzyże nie mają jeszcze tabliczek. Po prostu na korze zrobiono jakiś znak orientacyjny, postawiono jakieś litery albo wypisano imię i nazwisko ołówkiem. Więc te zagony piaszczyste — to bratnie mogiły. Krzyże pewnie są tam, gdzie już rozpoznano leżących pod nimi. Gdzie ich nie ma, pewnie też leżą, tylko nieznani. Gdy krzyż jest ozdobniejszy, otoczony wieńcem, oznaczony szczegółowym napisem — to pewnie dzieło rodziny zmarłego. Gdy tego nie ma, gdy na przecięciu swych ramion nosi tylko napis ołówkiem, pewnie rodzina jeszcze nie odnalazła. Różny jest wiek śpiących pod krzyżami: spoczywają tu chłopcy 18-to, 20-to letni, mężczyźni dojrzali i starcy. Kobiet niewiele. Na pierwszym planie, osobno, niezłączone wspólną mogiłą, dwa groby: ogrodzony już, z figurką Chrystusa Frasobliwego, grób Macieja Rataja i płaski niski grób Mieczysława Niedziałkowskiego. Poza nimi, znacznie dalej, na jednym z zagonów wznosi się krzyż, pod którym leży Stanisław Piasecki.

Taki jest cmentarz palmirski. Mój towarzysz zwraca mi uwagę na samą topografię miejsca. Jest to „poligon śmierci" — tłumaczy — jakich mnóstwo pozostało po Niemcach w Europie. I rzecz znamienna: wszędzie są one do siebie podobne: taki sam przylasek, wydma piaszczysta, pustkowie, drzewa szumiące. Jak gdyby istniało jakieś prawo tajemnicze, okropne a zwyrodniałe prawo, nakazujące wybór takich właśnie zakątów na miejsca kaźni i mordów. Możnaby mówić, że takie zakąty mając swój nastrój, gdyby wolno wyrazu „nastrój" użyć w danym wypadku. Ale ten wyraz byłby tu okropnym dysonansem. Nie sposób mówić o nastrojach miejsc, gdzie rozstrzelano setkami niewinnych ludzi. Można tylko medytować, gdy się stąd odjeżdża i powraca do miasta, doszczętnie zniszczonego, a przecie mającego wolę odrodzenia się — wbrew grozie cmentarzy, nietylko palmirskich. Po drodze skręcamy na Powązki i możemy odwiedzić cmentarz wojskowy. Wszedłszy przez bramę św. Honoraty, obchodzimy część tego ogromnego cmentarza, i stwierdzamy, że powstanie nie poczyniło w tym miejscu znaczniejszych spustoszeń. Pomniki i grobowce są nienaruszone. Oto pomnik Henryka Wieniawskiego, z jego profilem w marmurowej kolistej płaskorzeźbie. Oto monument, postawiony Ignacemu Komorowskiemu, który skomponował muzykę do rzewnej „Kaliny" Lenartowicza...

Na cmentarzu wojskowym jest „nastrój". Jego dwie główne aleje krzyżują się pod kątem prostym, i w miejscu tym wznosi się wysoka arka, na czterech słupach wsparta: to pomnik ku czci żołnierzy naszych, poległych w wojnie obecnej. Dalej poza nią, na końcu alei, widać kolumnę ku czci tych, co zginęli w tamtej wojnie, w latach 1914—1920. Na lewo od arki w przeciwnym końcu cmentarza — grobowiec powstańców r. 1863; na prawo — aleje powstańców i zdobywców Warszawy z r. 1944 i 1945.

Wszędzie jednostajne, niskie, murowane i drewniane krzyżyki żołnierskie — zaiste, las krzyżów. Wszystkie aleje grubo zasypane liśćmi klonowemi, które są zupełnie żółte, ścielące się w kobierzec, szeleszczący nieustannie pod nogami. „Panie, już czas! — przychodzą na pamięć słowa wielkiego liryka: — nakryj swym cieniem słoneczne zegary, na pól obszary wypuść wichrów rój... Kto teraz sam jest, długo będzie sam.. i niespokojnie będzie tu i tam wśród zwiędłych liści błądził po alei..." I przypominają się słowa jeszcze jednego poety: „Zmarłych pokoleń idealna sfera w żywej ludzkości wieczne ma siedlisko, a grób proroka, mędrca, bohatera jasnych żywotów staje się kołyską".

Nasze powojenne Zaduszki, i zeszłoroczne i dzisiejsze, to przede wszystkim Zaduszki poległych. Nieprzeliczone są ich imiona — i tych co padli na polach bitewnych, i tych co ginęli w więzieniach, w obozach, na „poligonach śmierci". Wszyscy są oni bohaterami. Są też mędrcami, bo jeśli nawet nie mogli być nimi za życia, gdy ich tracono nieraz w jego pierwszej wiośnie, stawali się nimi w swych ostatnich chwilach, gdy nabierali nagle wobec luf karabinów, wobec szubienicy — mądrości nie z tego świata, wiedząc, że giną za coś, co jest zaiste „Wielka Rzecz". I dlatego, choć ginęli niewinnie, o śmierci ich nie można mówić, że poszła na marne. Mówimy niekiedy o ofiarach niepotrzebnych. Ale chyba tak nie bywa. W każdej ofierze żyje proroctwo i zapowiedź tego, co musi być lepsze, i co nadejdzie wcześniej czy później z tą koniecznością, jaka przecie rządzi światem, a na imię ma Sprawiedliwość i Prawda Zwycięska.

J. W.

Otóż, masz swe osiadłości: w małym grobie liche kości...

Na tle wiary, że ofiara złożona ubogim, ma pomóc zmarłym, wytworzył się proceder żebractwa.

W większych miastach w dzień Zaduszny widzi się przed cmentarzami i wewnątrz nich całe szpalery żebraków. Wielu z nich, uprawiając swój proceder od lat, doprowadziło sposoby wzbudzania litości w przechodniach do artyzmu, pomagając sobie odpowiednią charakteryzacją, głosem, mimiką, czasami jakimś instrumentem lub pożyczonym dzieckiem itp., i ci zbierają największe datki. Znane były przed wojną wypadki, że żebracy stawali się właścicielami posesji, lub też pozostawiali po sobie większy majątek. W wielu miastach istniały nielegalne związki żebraków, miały one swoje władze; odbywały zebrania; wyznaczały miejsca na cmentarzach i pod kościołami; zwalczały żebraków przybyłych z prowincji na „gościnne występy". Stąd wynikały częste swary i kłótnie między „zasiedziałymi", a przybyszami. Nie wszyscy dają się nabierać krzykliwym i ucharakteryzowanym żebrakom i wolą wspomagać tych, co stoją w milczeniu na uboczu. Często widzi się, jak hałaśliwa żebraczka, widząc nadchodzącą elegancką panią, śpiewa: „Matko Boska, bądź wspaniała!" a gdy pani przejdzie nie obdarzywszy jej datkiem, rzuca za nią słowa: „przeszła, ścierwo, nic nie dała".

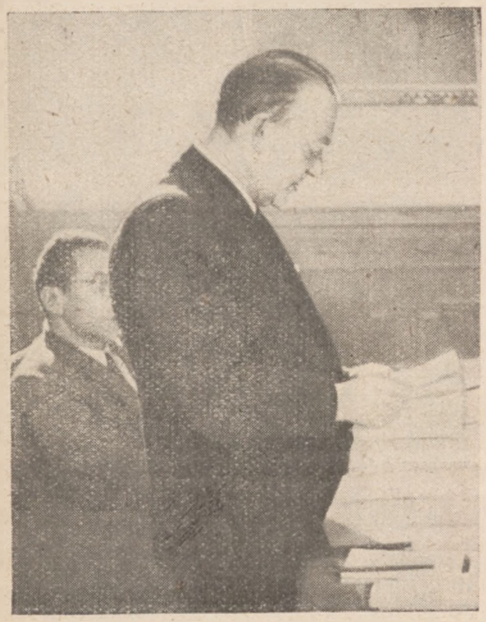
Po skończonych Zaduszkach — żebracy udają się na ucztę, która bynajmniej nie jest urządzana na intencję zmarłych. Eksploatuje się wówczas przedewszystkim „gości z prowincji" którzy muszą „postawić" za pozwolenie żebrania. Uczty takie trwają nieraz i trzy dni w zależności od zebranych „plonów". Mają żebracy swoje ulubione potrawy np. w Warszawie najbardziej popularną potrawą dziadowską była „jajecznica bez pierza" t. j. jajecznica z samych żółtek.

M. B.





II ZJAZD LITERATÓW POLSKICH W ŁODZI



Prof. Kazimierz Czachowski wybrany prezesem Zw. Zaw. Literatów Polskich na rok 1946/47.



Uczestnicy Zjazdu Literatów Polskich: Stoją między innymi od lewej strony: 1. Olcha, 2. Wojciech Żukrowski, 6. Jerzy Zagórski, 8. Aleksander Wat, 9. Wacław Rogowicz, 10. Władysław Broniewski, 11. Michał Rusinek, 14. St. Furmanik, 15. Wacław Kubacki, 16. Stanisław Piętak, 17. Maria Dąbrowska, 18. Zofia Petersowa, 19. Jan Nepomucen Miller, 21. Kazimierz Czachowski (z profilu), 22. Marian Promiński, 25. Jalu Kurek, 27. Wojciech Natanson, 28. Ostoja, 29. mjr. St. Ryszard Dobrowolski, 30. Adam Ważyk.

zdjęcie fot. J. Płażewski



Wicem. Kultury i Sztuki Leon Kruczkowski wita Zjazd w imieniu Rządu.

W dniach 26 i 27 października obradował w Łodzi Walny Zjazd delegatów Zw. Zaw. Literatów Polskich, w którym wzięli udział przedstawiciele oddziałów: warszawskiego, łódzkiego, krakowskiego, katowickiego, poznańskiego, toruńskiego, lubelskiego i dolno-śląskiego. Widzieliśmy więc: Marię Dąbrowską, prof. Kazimierza Czachowskiego, Jana Nepomucena Millera, Michała Rusinka, Stefana Kisielewskiego, Wacława Rogowicza, Wojciecha Natansona, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Jana Brzechwę, Jalu Kurka, Jerzego Zagórskiego, Juliusza Żuławskiego, Jerzego Zawieyskiego, Stanisława Witolda Balickiego, Stefana Żółkiewskiego, Jana Szczawieja i wielu innych. Brak było: Leopolda Staffa, Zofii Nałkowskiej, Jana Wiktora, Jerzego Szaniawskiego, Jana Parandowskiego, Poli Gojawiczyńskiej, Morstina i Jarosława Iwaszkiewicza.

Otwarcia Zjazdu dokonał prezes oddziału łódzkiego Jan Brzechwa, witając zebranych. Do prezydium Zjazdu wybrani zostali: prof. Kazimierz Czachowski jako przewodniczący, Maria Dąbrowska, Seweryn Pollak i Wojciech Żukrowski.

W obradach wzięli udział: wicem. Kultury i Sztuki Leon Kruczkowski, który powitał zebranych w imieniu rządu, wiceprezydent m. Łodzi Ajnenkel, przedstawiciele stronnictw politycznych, związków zawodowych, nauki, sztuki i prasy.

Zjazd Literatów wywołał duże zainteresowanie w świecie kulturalnym. Miał on bowiem za zadanie, poza omówieniem bolączek materialnych pisarzy, przedyskutować szereg tez ideologicznych, jakie się nasunęły w związku z nową rzeczywistością. Nic więc dziwnego, że zagadnieniom ideologicznym poświęcono dwa referaty: Jana Nepomucena Millera i Stefana Żółkiewskiego. W celu zapoznania czytelników z ciekawymi wywodami obu referentów podajemy na str. 10 przemówienie wybitnego krytyka Jana Nep. Millera oraz ważniejsze fragmenty z przemówienia St. Żółkiewskiego (całość drukowana była w „Kuźnicy" w dniu 27 bm). W ożywionej dyskusji, jaka się wywiązała nad obu referatami, zabierali głos: Maria Dąbrowska, Wojciech Natanson, St. R. Dobrowolski, M. Rusinek, K. Wyka, Kubacki, Flukowski, Zagórski, Watt, Czachowski, dyr. Furmanek i inni.

Omówienie poruszanych zagadnień podamy w jednym z następnych numerów.

Sytuacji materialnej pisarzy polskich i ich bolączkom poświęcony był ciekawy i wyczerpujący referat Jana Brzechwy, z którego ważniejsze fragmenty podamy w następnym numerze.

Dyr. Departamentu Literatury dr. Stanisław Furmanik omówił zagadnienia organizacyjne departamentu, podstawę współpracy z pisarzami oraz sprawy materialne członków Związku.

Zjazd powziął szereg doniosłych uchwał, których echo odbije się z pewnością w całej prasie polskiej.

Zjazd zakończył się wyborami nowych władz Związku. Na prezesa wybrany został prof. Kazimierz Czachowski, a do zarządu: Jerzy Zagórski, Aleksander Watt, Wojciech Natanson, Juliusz Żuławski, Stefan Żółkiewski i Wilhelm Szewczyk. Do Komisji Rewizyjnej: A. Breza, St. R. Dobrowolski i W. Gomulicki. Do sądu koleżeńskiego: Maria Dąbrowska, J. Przyboś i Al. Rymkiewicz. Do Komisji Kwalifikacyjnej: J. N. Miller, W. Rogowicz, J. Zawieyski, H. Boguszewska i Al. Rymkiewicz.

Na marginesie obrad Zjazdu podkreślić należy inicjatywę prezesa Z. U. S. p. Krygiera, który zadeklarował zbiorowe ubezpieczenie wszystkich nieubezpieczonych członków Związku na rachunek ZUS.

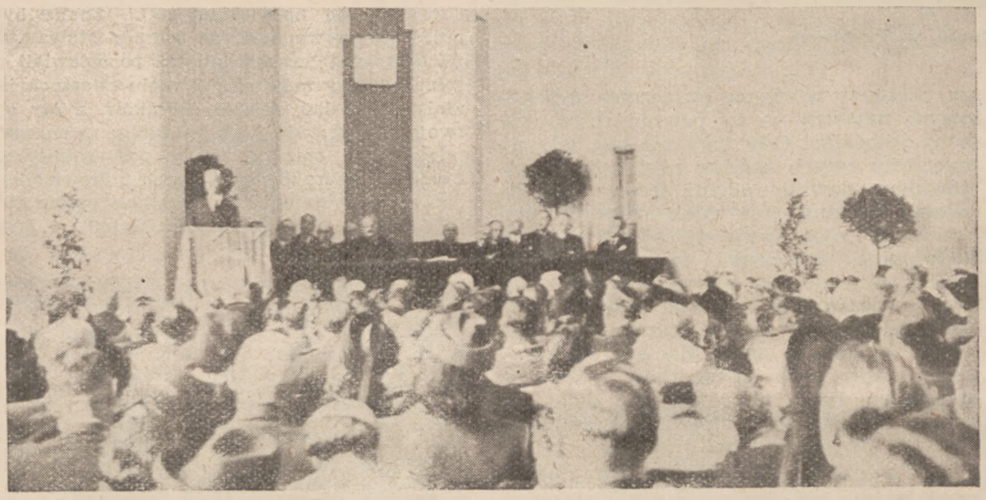
Na zakończenie obrad Zjazdu p. wicem. Kruczkowski apelował do zebranych, aby ustosunkowali się pozytywnie i aktywnie do tych przemian, jakie zachodzą w naszej rzeczywistości, aby polityczne myślenie pisarza było uczciwe, przenikliwe, ostre i obliczone na długi dystans. Od pisarzy zależy w dużym stopniu przyspieszenie pewnych procesów, a od tego zależy rozwój podstaw finansowych pisarza.



Obrady II Zjazdu Delegatów Literatów Polskich odbyły się w lokalu Zarządu Miejskiego w Łodzi.

zdjęcie fot. J. Płażewski

ROK AKADEMICKI ROZPOCZĘTY



Przedstawiciele władz, profesorowie i młodzież w auli uniwersytetu podczas wykładu rektora dr. Kotarbińskiego.

zdjęcie fot. J. Płażewski

Na Uniwersytecie Łódzkim jednej z najmłodszych polskich uczelni, odbyła się uroczysta inauguracja nowego roku akademickiego.

Zadziwiająca jest prężność nauki polskiej. Po bezprzykładnych spustoszeniach okresu okupacji, szkoły wyższe potrafiły nie tylko w rekordowym tempie osiągnąć stan przedwojenny, lecz znacznie powiększyć zasięg i liczebność. Historia Uniwersytetu, który „zaczął działać, zanim jeszcze powstał" będzie bez wątpienia punktem wyjścia dla tworzącej się tradycji uczelni.

W chwili obecnej mimo trudnych warunków lokalowych, liczba słuchaczy dosięga 10 tys., zaś dziennie odbywa się około 230 wykładów, co daje imponującą cyfrę niemal 6 tys. wykładów miesięcznie. Obsadzonych katedr uczelnia liczy 120.

Ciekawym novum będą świeżo uruchomione studia: bibliotekoznawstwa; pedagogiki społecznej; problemów chłopskich i robotniczych; wreszcie studium filmów naukowych, prowadzone w oparciu o doświadczalne laboratorium w Żyrardowie.

Uroczystość inauguracyjna objęła poza sprawozdaniami akt symbolicznej immatrykulacji połączonej ze ślubowaniem; przemówienie przedstawiciela Bratniej Pomocy; wreszcie wykład jego magnificencji rektora prof. Kotarbińskiego, p. t. „Realizm praktyczny".

Tradycyjne „Gaudeamus igitur" zakończyło inaugurację.

J. Pl.

Główny gmach Uniwersytetu Łódzkiego.



Rektor prof. dr. Tadeusz Kotarbiński na inauguracji roku akademickiego Uniw. Łódzkiego wygłasza pierwszy wykład.



NARODOWE ŚWIĘTO CZECHOSŁOWACJI

Czechosłowacja obchodziła w dniu 28 ub.m. swoje Święto Narodowe w 28 rocznicę odzyskania niepodległości. Prez. Benesz podał do wiadomości, że ostatnia partia Niemców opuściła Czechosłowację i w ten sposób bratni naród słowiański stał się państwem narodowym.



Straż czeska przed pomnikiem w Lidicach, miejscu, gdzie oprawcy hitlerowscy wymordowali 184 patriotów czeskich w dniu 10 czerwca 1942 r.

HELIKOPTERY W AKCJI RATOWNICZEJ

Akcja ratownicza ofiar katastrofy samolotu belgijskiego, zdążającego z Brukseli do Nowego Yorku, to wspaniały akord ludzkiego poświęcenia się i najnowocześniejszych maszyn.

Katastrofa zdarzyła się w Nowej Funlandii, w odległości 50 km od międzynarodowego portu lotniczego w Gender, lecz w głębi puszczy, przykrytej powłoką mgły, zdala od dróg i ludzkich sadyb.

W trzy godziny po katastrofie hydroplan wojskowy, zawiadomiony o niej przez radio, wylądował na jeziorze odległym o 5 km od miejsca wypadku. Przejście tych 5 km kosztowało ekspedycję ratowniczą 6 godzin ciężkiej wspinaczki i przebijania się przez nietkniętą stopą ludzką pustynię.

Z 44 pasażerów samolotu 24 zginęło na miejscu, 14-tu było ciężko rannych, a tylko 4-ch odniosło lżejsze rany. Pierwsza ekspedycja przystąpiła do ratowania rannych, podczas gdy lotnictwo zorganizowało dostawę żywności, zakonserwowanej krwi potrzebnej do transfuzji, i środków leczniczych, zrzucając je przy pomocy spadochronów.

Żaden z samolotów nie mógł wylądować na miejscu katastrofy, gdzie większość z pozostałych przy życiu pasażerów potrzebowała natychmiastowego transportu do szpitala. Jedynie helikoptery były zdolne lądować na miejscu. Najbliższe zaś oddalone były o 2000 km w Stanach Zjednoczonych. Kierownictwo lotnictwa zdecydowało się na jedyny w swoim rodzaju wyczyn. Dwa helikoptery zostały rozłożone na części, załadowane do wielkiego transportowca i przewiezione drogą lotniczą do Gonder, gdzie w rekordowym czasie zmontowano je z powrotem.

W trzy dni po katastrofie pierwszy helikopter opuścił się na miejsce wypadku, na specjalnie przygotowanej platformie z desek zrzuconych poprzednio przy pomocy spadochronów. Ciężko ranni, umieszczeni na metalowych noszach, przywiązywani byli kolejno do kadłuba helikopteru, który przewoził ich do czekających na pobliskim jeziorze hydroplanów sanitarnych.

Tą drogą — helikopterem do samolotu, samolotem do szpitala — przewieziono pozostałych przy życiu uczestników katastrofy. Ciała zabitych pochowano na miejscu. 4-go dnia po katastrofie nie zostało w puszczy nowofunlandzkiej nic prócz szczątków samolotu i mogił. Życie reszty było uratowane.

S. S.



Ciężko rannych w katastrofie samolotowej na bezludziu nowofunlandzkim przywiązywano na noszach do helikoptera i tą drogą odwożono do samolotów sanitarnych

British Photo

Właściwa droga do demokracji gospodarczej

Budowa spółdzielczych przedsiębiorstw

Ustrój gospodarczy Polski powojennej usankcjonowany przez uchwały K.R.N., opiera się na trzech podstawach: państwie, jako gospodarzu przemysłów kluczowych, 2) spółdzielczości, która zaspakaja codzienne potrzeby mas pracujących i 3) inicjatywie prywatnej, reprezentowanej przez posiadaczy drobnych warsztatów rolnych, rzemieślniczych, przemysłowych i handlowych.

Jaką rolę ma do spełnienia w tym ustroju spółdzielczość?

Przede wszystkim rozprowadza ona pomiędzy świat pracy towary, wyprodukowane przez państwowe przemysły kluczowe. Poza tym skupuje od rolników płody rolne i hodowlane, zaopatrując w żywność miasta i ośrodki przemysłowe. Prócz tego prowadzi różnego typu fabryki przetwórcze związane z zaopatrzeniem ludności w produkty spożywcze. Dość wspomnieć, że spółdzielnie prowadzą młyny, kaszarnie, przetwórnie kawy, browary, gorzelnie, fabryki wód sodowych, przetwórnie owoców itp. aby pojąć, jak poważny udział ma polski ruch spółdzielczy w przetwórstwie.

Ale spółdzielczość polska nie ogranicza się do działalności handlowej i przemysłowej. Głównym jej celem jest organizacja ludzi pracy w przedsiębiorstwa spółdzielcze, aby tą drogą podnieść masy pracujące na wyższy poziom społeczny i gospodarczy oraz chronić przed wyzyskiem.

Z tą myślą spółdzielczość organizuje i wiąże ludzi w spółdzielnie spożywcze handlowo-rolnicze, mleczarsko-jajczarskie, kredytowe, pracy i innych typów.

Spółdzielnie te i ich przedsiębiorstwa podyktowane są wspólnym interesem członków. Pracują one metodą nie kapitalistyczną, a spółdzielczą.

Na czym ta różnica polega?

Na uznaniu zasady, która głosi, że człowiek, a nie kapitał decyduje. W spółkach typu kapitalistycznego ten ma największy głos, kto reprezentuje najwięcej udziałów. O pozycji jego w spółce decyduje kapitał, który włożył w spółkę. W spółdzielniach obowiązuje zasada — jeden członek, jeden głos. Choćby członek spółdzielni posiadał kilkanaście udziałów, zawsze będzie miał taki głos, jak reprezentant jednego udziału.

Jak widać z tego, spółdzielnie tworzą swoisty typ przedsiębiorstw gospodarczych. Przemieniają one inicjatywę prywatną w społeczną. Uczą ludzi współpracy gospodarczej i wychowują nowego uspołecznionego człowieka zdolnego do współpracy w ustroju demokracji ludowej.

Ambicją ruchu spółdzielczego jest stworzenie gospodarczych podstaw demokracji ludowej przez dźwignięcie mas pracujących na wyższy poziom gospodarczy. Jest to budowa demokracji ludowej od dołu ,a nie od góry, drogą pobudzenia inicjatywy ludzi pracy, a nie narzucania sztywnych wzorów przez biurokrację.

Działacze ruchu spółdzielczego są przekonani, że prawdziwa demokracja ludowa wtedy powstanie i utrwali się, kiedy demokratyczne formy ustrojowe wypełnione będą treścią życiową, tworzoną przez masy pracujące. Taka demokracja wyrasta z życia, z potrzeb świata pracy, a więc nie ze sztywnych formuł biurokracji, która najczęściej nie rozumie ani dążeń, ani potrzeb mas pracujących. Spółdzielnie, tworząc uspołecznione przedsiębiorstwa gospodarcze i wiążąc je z potrzebami codziennymi ludzi pracy, wypełniają formy demokracji ludowej, właściwą treścią życiową. Służąc masom pracującym, służą zarazem demokracji ludowej.

Jakie są rezultaty ruchu spółdzielczego w Polsce?

Obecnie w Polsce jest 10.000 spółdzielni najrozmaitszych typów. Spółdzielni spożywców jest 4000, spółdzielni rolniczo-handlowych 500, mleczarskich 750 i około 1500 gminnych spółdzielni Samopomocy Chłopskiej. Istnieją również spółdzielnie pracy wytwórcze, księgarskie, mięsne itp. Te 10.000 spółdzielni posiada około 12.000 sklepów.

Nadrzędnymi organizacjami spółdzielni są trzy centrale: Związek Rewizyjny, który kontroluje spółdzielnie, „Społem", hurtownia wszystkich spółdzielni i Bank Gospodarstwa Spółdzielczego, który jest centralą finansową ruchu spółdzielczego.

W roku 1945 „Społem" miało 6 miliardów zł. obrotu. W pierwszym półroczu r. 1946 obrót „Społem" wzrósł do 18 miliardów złotych.

Jak z tego pobieżnego sprawozdania widać, polski ruch spółdzielczy jest dziś poważnym czynnikiem w naszym życiu gospodarczym.

Siwobrody lekkoatleta

W miasteczku japońskim Szirakawa żyje fenomen atletyczny — 62-letni Metsumoto, który nie tylko bije rekordy młodzieży w dźwiganiu ciężarów, lecz także wyniki Nurmiego w długodystansowych biegach.

Krzepki ten starzec, z przydomkiem Hyakkon-Dzi-San, oznaczającym, że potrafi podnieść 400 kg ciężaru, wygląda raczej na mnicha niż na atletę. Siwa, nieuporządkowana broda i łysa głowa nadają mu wygląd ascety, i tylko napis na bluzie „Hyakkon" wskazuje, że mamy przed sobą najsędziwszego chyba lekko- i ciężkoatletę na świecie.

Metsumoto na serio bierze swój przydomek. Minionego lata wszedł na Fudżi-Yamę, niosąc na grzbiecie 70-kilowy kamień. Wkrótce potem przebiegł jednym tchem niemal 100 km. Ale w zeszłym miesiącu pobił wszystkie swoje rekordy życiowe, przebiegając kłusem przestrzeń przeszło 200 km, dzielącą jego miasto rodzinne od Tokio. Dystans ten przebył w stosunkowo niezłym czasie 29 godzin. W drodze odżywiał się gałkami z ryżu, które uprzednio kazał powiesić na gałęziach drzew przydrożnych. Młodszy jego przyjaciel towarzyszył mu przez pewien czas na rowerze, lecz odpadł w drodze, nie mogąc dotrzymać tempa siwobrodemu biegaczowi. Do Tokio przybył w doskonałej formie i zadowolony z wyniku biegu oświadczył, że po powrocie do Szirakawy powiększy swą liczbę rekordów o najważniejszy, podnosząc conajmniej 250 kg obuarącz. Metsumoto tak jest pewny swego przedsięwzięcia, że ofiarował nagrodę 10 yen dla każdego, kto go pobije. Rywalów dla siebie widzi tylko wśród starych, ponieważ zdaniem jego młodzież nowoczesna jest zniewieściała.

WIADOMOŚCI SPORTOWE

W MECZACH PIŁKARSKICH O MISTRZOWSTWO POLSKI mamy jeszcze jedną sensację sportową. Warta zremisowała 2:2 w Poznaniu z mistrzem Śląska AKS. Uzyskanie przez Wartę wyniku remisowego z faworytem mistrzostw jest wielką niespodzianką sportową. Ślązaków ten wynik remisowy w Poznaniu kosztować może utratę tytułu mistrzowskiego. Jednocześnie w Warszawie Polonia rozgromiła ŁKS 6:3 (2:0). Polonia po tym zwycięskim meczu nad ŁKS wysunęła się na pierwsze miejsce w tabelce mając za sobą AKS, Wartę i ŁKS. Polonia jak widzimy złapała tak zwany drugi oddech i potrafiła w sposób wielce ambitny wywalczyć sobie dwa punkty w tabelce. Dziwnym się wydaje to wszystko co się dzieje w piłce nożnej. Warta pokonała bowiem Polonię, a ŁKS wygrał z Wartą. Zdawałoby się, że tym razem ŁKS powinien wygrać z Polonią. Tak przynajmniej mówią nam zasady zwykłej arytmetyki. Niestety piłka jest okrągła i dlatego dzieją się nieraz takie niespodzianki. W najbliższą niedzielę nastąpi pewna przerwa w meczach o mistrzostwo Polski. 3 listopada odbędą się dwa mecze międzymiastowe o puchar ś.p. Kałuży. Warszawa grać będzie z Krakowem, a Poznań ze Śląskiem. Natomiast najbliższe mecze o mistrzostwo Polski rozegrane zostaną 10 listopada i tak AKS grać będzie na swoim boisku z Polonią, a Warta w Poznaniu spotka się z ŁKS. Mecz Polonii z AKS może być jednym z decydujących spotkań o mistrzostwo Polski. Przemawia raczej wszystko za tym, że zwycięstwo odniesie AKS. Natomiast w drugim meczu Warta zechce niewątpliwie zrewanżować się ŁKS za przegraną w Łodzi. W każdym bądź razie mecze o mistrzostwo Polski budzą coraz większe zainteresowanie. Kalendarzyk zawodów przewiduje, że ostatni mecz rozegrany zostanie 1 grudnia. Będzie to rewanżowy mecz między Polonią a AKS. Odbędzie się on zapewne już na osypanym śniegiem boisku, obok którego grać będą mogli hokeiści.

BOKSERZY POLSCY będą mogli nareszcie dokończyć przerwane mistrzostwa Polski w wadze średniej. Odbędą się one w Łodzi 2 i 3 listopada. Do mistrzostw dopuszczeni zostaną tylko czterej zawodnicy Kolczyński, Pieniążek, Bednarz i Sobczak. W ramach tych zawodów odbędzie się mecz międzymiastowy Śląsk—Łódź. Mecz ten zgromadzi na ringu wszystkich najlepszych zawodników obu najsilniejszych w Polsce okręgów.

J. N.

Sześćdziesięciodwuletni siwobrody Metsumoto ozdobiony hieroglifami bije rekordy w biegu po ulicach miasteczka Szirakawa

British Photo



Idealizm i materializm

SŁOWO – SPOIDŁO I „WIELOŚCIOWOŚĆ" KULTURALNA

Na II Walnym Zjeździe Delegatów Zw. Zaw. Literatów Polskich, jaki się odbył w dn. 26—27 października r. b., wygłoszone zostały cztery referaty zasadnicze przez pp.: St. Furmanika — dyrektora Departamentu Literatury w Min. Kult. i Sztuki, Jana Brzechwę, J. N. Millera i Stefana Żółkiewskego. Dwaj pierwsi mówili o sprawach zawodowych literatów; referaty Millera i Żółkiewskiego miały charakter ideologiczny. Drukujemy w całości referat Millera. Z referatu Żółkiewskiego, opublikowanego w całości w „Kuźnicy", podajemy najistotniejsze wyjątki, określające jego stanowisko marksistowskie. Refleksje i uwagi na temat Zjazdu zamieścimy w następnym numerze, w którym damy też dokończenie referatu J. N. Millera i fragmenty ze świetnie skonstruowanego referatu Brzechwy.

☆

W świecie otaczającym — i u nas, w Europie, Polsce i na całym świecie — zachodzą zmiany tak zasadnicze, że dzień wczorajszy z epoki przedwojennej nie poznaje siebie w odbiciu dzisiejszym. Stosunki społeczne, polityczne uległy przepostaciowaniu tak gruntownemu, że dla wielu ludzi, oswojonych z tradycyjnymi formami eksploatacji, nastąpił koniec świata i załamanie się wszelkich uświęconych wartości. Unarodowienie przemysłu i likwidacja własności obszarniczej na rzecz chłopa w Polsce, to zmiany fantastycznej doniosłości w stosunkach naszego kraju.

Wobec tak zasadniczych przeobrażeń naszego życia gospodarczego i społecznego, wobec fundamentalnych zmian w układzie politycznym i w ustosunkowaniu się do świata otaczającego, zdawałoby się, że zmianom tym towarzyszyć mogą, i powinny nie mniej gruntowne zmiany w świadomości zbiorowej i w życiu kulturalnym narodu. Nie jest to jednak sprawa tak łatwa i tak prosta. Między szeregami tymi nie zawsze zachodzi stosunek równoległości. Różne typy i odmiany środowiska społecznego, warstwy, klasy i grupy społeczne mają różne potrzeby, odbiorczość, wrażliwość i świat pojęć odrębny. Byłoby tedy rzeczą bardzo ryzykowną do różnych odmian środowiska społecznego podchodzić z tą samą miarą, wychodząc z założenia, że jedna jest tylko sztuka wzorcowa, godna kultywacji, wszelkie zaś inne jej odmiany i postaci — to żałości godne przejawy grafomanii i dyletantyzmu.

Nie samą jakością dających się przedmiotowo uwidocznić nowatorskich osiągnięć mierzy się wartość sztuki; jej rola społeczna wyraża się raczej w sugestii wiążącej, w zdolności do zorganizowania świadomości zbiorowej, w opracowaniu jej w ramy konstrukcji, uzgodnionej z kierunkiem i łożyskiem rozwoju społecznego.

A na to wszystko nowatorstwa formalnego jeszcze jest za mało: zdarza się nawet, że ono często uniemożliwia sztuce spełnienie tej roli spajającej, z której znacznie lepiej się wywiąże szablon niż programowe, zawzięte i manjackie nowatorstwo. Nie chcę podważać bynajmniej roli i znaczenia formalnego nowatorstwa odkrywców nowych powiązanych słów, pojęć, zdań i okresów, uroku elipsy odprzedmiotowionej rzeczywistości i napięć kierunkowych celowego odkształcania.

Chcę tylko stwierdzić, że jak istnieje sztuka wiążąca, oparta często (nie wyłącznie zresztą) na szablonie formalnym, lecz dzięki tym upowszechniającym ułatwieniom mogąca narzucić pewne treści społeczne większej ilości ludzi i powiązać ich sprzęgami duchowej wspólnoty — tak istnieje również sztuka dla niewielu (jak Peiper niegdyś szczerze i uczciwie w „Nowych ustach" stwierdził — sztuka „dla dwunastu lub dla dwu dwunastek") odkrywcza w sensie formalnym, nowatorska, ograniczona jednak w zakresie swego wpływu do kręgu wtajemniczonych w uroki nowych powiązań słów i zdań, szczupłego grona melomanów.

Konwencjonaliści cieszą się przeważnie sławą i powodzeniem, mają poczucie „władzy nad duszami", dzięki czemu przeceniają najczęściej swoją rolę, utożsamiając uznanie z wielkością.

Nowatorzy patrzą z pogardą na konwencjonalistów, uważając ich za kiczarzy i grafomanów, napawając się dumnym poczuciem swej odrębności i niezrozumienia, siebie jedynie poczytując za twórców sztuki przez wielkie S.

Schemat tego podziału nie byłby ścisły, gdybyśmy nie stwierdzili, że między biegunami istnieje tysiąc stopni przejściowych i przeniknięć wzajemnych. Że czasem rozwiązanie pewnych form szablonu może być bardziej odkrywcze niż nowatorstwo z nałogu, które przechodzi w dziwactwo i manjactwo. Z drugiej zaś strony nowatorstwo formalne może się stać również szablonowe i banalne jak wszelki passeizm. czego, przykładem niezliczone, plagiatowe naśladownictwo Picassa przez całe pokolenie szablonowych nowatorów przelicytowujących się w banalności tego naśladownictwa.

Innymi słowy — rozróżnienie między typami konwencjonalistów i nowatorów nie jest tak łatwe ani oczywiste. W każdym artyście tkwią niewątpliwie cechy jedne i drugie. Od procentowego ich ustosunkowania zależy zaliczenie do jednego z tych bardziej określonych typów.

W istocie na pogardę i niechęć wzajemną tych dwóch typów artystów należy spojrzeć z jakiegoś nadrzędnego stanowiska, ogarniającego celowość, potrzebę istnienia i równouprawnienie obydwu tych typów. Może socjologia byłaby bardziej powołana w tym wypadku do rozjemstwa niż estetyka i historia sztuki.

We wszelkiej konwencji, normie, stylowości i szablonie tkwi zaród aprobaty, zgody i podporządkowania się panującym formom współżycia. W każdym nowatorstwie — nawet najbardziej formalnym— bunt i protest przeciw uznanym wartościom czy formom społecznego powiązania.

Ale w okresach wiązania się i scalania społeczeństwa, w porewolucyjnych epokach regulacji stosunków, gdy na grunt zorany przez traktory historii rzuca się ziarno siewne — nie czas na nałogowe i manjackie nowatorstwo, bez punktu przyłożenia, lecz raczej cnotą społeczną staje się wówczas podporządkowanie realizującej się dopiero i niewyżytej, nowej zasadzie bytu. Dlatego też w epoce zwycięskiej rewolucji we Francji jak i później w okresie próby regulacji stosunków za Napoleona, zgrana już jakby się zdawało do ostatniej karty konwencja klasyczna z czasów Ludwika XIV zmartwychwstaje na nowo — i nie przestając być szablonem, spełnia czas jakiś społecznie pozytywną i wiążącą rolę.

Polska w chwili obecnej przeżywa okres zmian i reform, które ją wytrąciły z wielowiekowego zastoju. Po raz pierwszy ulegają zmianie skostniałe stosunki społeczne. Po raz pierwszy w jej dziejach ziemiańsko-szlachecka elita przestała być warstwą kierowniczą narodu.

Właściwym celem rozwoju społecznego jest mocniejsze sprzęgnięcie rozluźnionych przez katastrofę wojenną wiązadeł życia zbiorowego narodu, nawiedzonego serią klęsk i nieszczęść. nieznanych dotychczas w historii.

Społeczeństwo polskie w tej wojnie z hitleryzmem poniosło procentowo największą ilość strat ze wszystkich walczących narodów. W wyniku wojny szósta część ludności przestała dla państwa istnieć, piąta część pozostałej uległa wyniszczeniu, ocalała reszta musiała zmienić częściowo teren swego zamieszkania, przesunąć się na zachód, na ziemie, wydarte sobie w zaraniu swoich dziejów.

Wszystkie te kolosalne zmiany zaszły w ciągu lat kilku, oszałamiając i przytłaczając ludność ciężarem tych „nowości".

Sądzićby należało, że w takich warunkach życia zbiorowego rozpocznie się poszukiwanie tego słowa, wiążącego wszystkich niedobitych, ocalałych, kalekich ciałem i duchem, oderwanych od bliskich, stęsknionych do wydartej przez lata grozy i ucisku — wspólnoty życia narodowego; że na ugornej, stratowanej nowinie współczesnego życia polskiego powinno rozbrzmieć słowo, któreby miało moc wiążącą dla wszystkich, słowo — spoidło, słowo — zaklęcie, mamrot zbiorowy pospólnego pochylenia głowy i wyciągniętych rąk...

Któż to w „Weselu" wita Wernyhorę:

„Ktoś mi znany,
Ktoś serdeczny, ktoś kochany,
ktoś, co groźny — dawny, stary,
jak wiek cały"...

Kłoni więc głowę przed Wernyhorą, przypisując mu prawo rozkazu.

Podkreślam pierwsze dwa wiersze tego ustępu, ich nieporadny i bezładny gest, koślawy, zdarty, gramatyczny rym, dziecinną rytmikę tego celowego prymitywu — lecz i jego niezawodną, rozpoznawczą moc...

Efekt osiągnięty przez poetę w tej chwili jest wynikiem właśnie tego nieporadnego, dziecinnego szeplenienia, czy starczego mamrotu, tej prymitywnej, urągającej ambicjom nowatorskim niezdarzonej, tępym kozikiem na brzozowym kijku struganej konstrukcji wiersza — i tych słów pospolitych, codziennych, bezpośrednich w adresie, jednoznacznych w treści — wypranych z metafory, wiążących jak zaklęcie...

I dlatego — wracając do podjętej myśli, nie sądzimy, by w chwili obecnej zasługa moralna i społeczna formalnego nowatorstwa mogła być większa niż konwencjonalne, lecz spajające wszystkich słowo.

Przypuszczać by należało, że tę moc wiążąca, to cudotwórcze hasło wtopienia się w nową wspólnotę odrodzonego przez dzieje narodu wykrzesać by można ze słów i zestawień — znanych i dawnych, trwałych i sklepionych w kształt wymagań konstrukcyjnych całości — bez barokowych zawijasów i przesłaniającej kształt zasadniczy, nadętej w swej wymyślności ornamentacji.

Oceniając więc w pełni męczeński wysiłek naszych postsurrealistycznych eksperymentatorów poetyckich, w jogistycznej kontemplacji roniących ogniwa w łańcuchu pojęć i obrazów, by zaskoczyć i olśnić siebie i słuchacza niepojętą, dla niego, lecz łatwo dostępną, dla roniącego te sprzęgi elipsą — nie sądzę, by z tego środowiska zdolnych narcyzystów i homonculusów, wywarzonych z kuchni czarodziejskiej Crevelów i Eluardów, rozbrzmiewało to słowo, mające podźwięk sugestii zbiorowej. Dlatego praktyka poetycka naszych czołowych pism literackich, mimo rzekomej podmurówki społecznej i ortodoksalnego nawet materializmu — nie ma, niestety, nic lub łagodniej mówiąc, ma bardzo mało wspólnego z rzeczywistymi potrzebami naszego życia zbiorowego, wiele natomiast ją łączy z elitarnymi łożami reprezentacyjnych salonów niesławnej pamięci zmarniałego reżymu.

Może dlatego — mimo wszelkich obrzędów, hałasów i reklamy — rzeczywiste i ważne zdarzenia zachodzą nie tam, gdzie ich narodziny i wiadomy przebieg z góry się anonsuje, lecz zgoła gdzieindziej.

Z tych to zapewne względów jakaś forma mogącego się wesprzeć na odczuciu zbiorowym, sugestyjnego konwencjonalizmu, i obcego zresztą pewnym przejawom spółczesnej poezji polskiej — mogłaby okazać się w swych skutkach społecznych bardziej owocna i wiążąca, niż wszelkie grymasy zadomowionego w laboratoriach poetyckich zrzędnego i aroganckiego często nowatorstwa.

Kończąc te rozważania, chciałbym poruszyć jeszcze sprawę postaci i form rodzącej się kultury.

c. d. n.

Jan Nepomucen Miller



Jan Nepomucen Miller prezes oddziału warszawskiego Związku Zaw. Literatów Polskich podczas odczytywania referatu na Zjeździe. Na lewo Maria Dąbrowska.

FRAGMENTY Z REFERATU STEFANA ŻÓŁKIEWSKIEGO

...Pisarz dziś rozumie swój obowiązek moralny w ten sposób, że winien piętnować krzywdę człowieka, jednostki, iść w tropieniu tej krzywdy jak najdalej, dochodzić i tam, gdzie jej źródło tkwi w samej strukturze społecznej — a ciągle i zawsze po linii obrony pokrzywdzonej jednostki. Oczywiście sumienny człowiek na tej drodze nie stanie się mimowolnym obrońcą zła. Ale pewne jest, że nie spełni obowiązku, który nasza epoka nałożyła na literaturę. Bo dziś, gdy dostatecznie znamy wartość mieszczańskiej fikcji, łudzącej nas iż społeczeństwo to zbiór wolnych, powiązanych dobrowolnemi umowami wzajemnemi; dziś, gdy znamy już groźną prawdę o klasowej strukturze społeczeństwa — walka ze złem to walka ze złem w stosunkach między klasami, i obowiązek moralny pisarza polega na współdziałaniu w tej walce, na ukazywaniu rzeczywistej granicy zła i dobra; i tu izolacja, abstynencja, ograniczenie się do moralności jednostkowej jest szkodliwe — nie przez to, co mówi i czego broni, ale przez to, co pomija, co przemilcza, czego nie dostrzega...

Literatura ma wprowadzić jasność do spraw ludzkich. Wiemy dobrze — sprawy, poruszające masy, dotyczące ich materialnych, nieusuwalnych potrzeb znajdują swój bezpośrednio uchwytny wyraz w grze sił politycznych. Polityczna jest struktura społeczeństw, polityczna przeto jest funkcja literatury i jej moralnego sądu o człowieku i społeczeństwie, zarówno w jej tezach jak i przemilczeniach. Przeto prostym obowiązkiem moralnym jest odrzucenie postawy politycznego indeferentyzmu przez pisarzy... Marksizm, jako filozofia kultury na swoim terenie, daje prostą, jasną, sprawdzalną wiedzę o sprawach i losach ludzkich. Naturalnym wydaje mi się postulat logiczny i moralny przeniesienia jej punktów widzenia i koncepcyj na teren literatury. Aby i ona odsłaniała proste a zbyt często przemilczane prawdy o strukturze klasowej społeczeństwa, o formach przemocy ekonomicznej, o drogach wyzwolenia społecznego i zależności wysokich ideałów sprawiedliwości od materialnych form produkcji...

...Znaleźliśmy polską drogę do nowego ustroju w formach współżycia gospodarki prywatnej i społecznej, w formach współistnienia rewolucyjnych reform i wielopartyjnej demokracji parlamentarnej. Winniśmy znaleźć drogę do nowego ustroju w kulturze. Drogę, która by uszanowała wielość kierunków artystycznych i ideowych, odpowiadającą wielości, współdziałającej w ramach obozu demokracji ludowej grup społecznych; drogę, która by zapewniła literaturze zupełną swobodę. Ale jednocześnie stworzyła te społeczne formy służby literatury dla współczesności. Drogę, która by pozwoliła owocnie podejmować zadania w dziedzinie odbudowy i upowszechnienia kultury, która by pozwoliła na naszym (literackim) odcinku współdziałać z resztą społeczeństwa przy realizacji najważniejszych zadań, jek choćby dla przykładu: kulturalne zagospodarowanie ziem zachodnich, sprostanie potrzebom uniwersytetów ludowych, robotniczych, świetlic, sprostanie ożywionemu ruchowi kulturalnemu mas. Związek Zawodowy Literatów Polskich musi mieć możność decydowania, jeśli nie o formach organizacyjnych, to przynajmniej o ideowych i artystycznych treściach życia kulturalnego wymienionych instytucyj. Związek Zawodowy winien mieć prawo pośredniczenia w dysponowaniu siłami swych członków. Powinien mieć możność proponowania odpowiednich ludzi na stanowiska, decydujące o społecznym kierowaniu polityką kulturalną. To wszystko w oparciu o prawdziwie demokratyczny samorząd. Tylko w ten sposób będą pisarze mogli sprostać obowiązkom współdziałania w odbudowie kulturalnej kraju...

WOJSKOWY PRZEGLĄD PRAWNICZY

(Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego).

Na treść najnowszego zeszytu „Wojskowego Przeglądu Prawniczego" (kwartalnik), poświęconego rozwojowi wojskowej myśli prawniczej, składa się szereg następujących prac: „Po referendum" (em), „Na marginesie odprawy sędziów i prokuratorów wojskowych" (A.Ł.M.), „Nowa organizacja wojskowej służby sprawiedliwości" — płk. dr M. Muszkota, „Najwyższy Sąd Wojskowy" — ppłk A. Janowskiego, „Najważniejsze wojskowe kodyfikacje Europy Wschodniej XVII i XVIII wieku" — mgr. Lesława Pauli, „Najnowsze polskie ustawy z zakresu prawa cywilnego a potrzeby wojska" (cz. I.) — Józefa Litwina, „Opieka państwa nad rodziną żołnierza i żołnierzem zdemobilizowanym" — ppłk. Franciszka Żukowskiego, „Podoficer zawodowy" — ppłk. Jerzego Chrempińskiego, „O prokuratorii generalnej R. P. słów kilka" — Marii Fuchsówny, „Parlament jednoizbowy czy dwuizbowy" — E. Grabowskiego, „Tendencje prawodawcze demokracji ludowej" — S. Żurawickiego, oraz „Na marginesie przemówienia gł. oskarżyciela ze strony Z. S. R. R. prok. Rudenki w procesie norymberskim".

Obok prac wyżej wymienionych, wchodzących w zakres doktryny prawniczej oraz obok spraw natury polityczno - społecznej, którym „Przegląd" poświęca sporo miejsca, treść pisma uzupełnia rozległa „bibliografia" i „krytyki" oraz „zarządzenia", „orzecznictwa N. S. W." i „okólniki".

Przy analizie poszczególnych prac „Wojskowego Przeglądu Prawniczego" wypada stwierdzić bezsprzeczną atrakcyjność poruszonych tematów, posiadających niewątpliwy aspekt przydatności oraz ich ustawiczny kontakt z zagadnieniami bieżącej chwili.

T. T.



Dobry aktor bez żadnej charakteryzacji, a jedynie dzięki dobrej mimice, może stworzyć dwa odrębne typy.

TWARZ CZY MASKA

Ustalenie tożsamości danego osobnika, wobec dzisiejszych zdobyczy kryminalistyki: jak daktyloskopia. pomiary kośćca, próby krwi itp. — nie przedstawia większych trudności i jest w 100% ścisłe. Jednak sprawa ta nie ma nic wspólnego z poszukiwaniami przestępcy. Podany krótki rysopis, jakieś niefortunne zdjęcie z rękoma skrzyżowanymi na piersi i numerem więziennym, odcisk palców — oto materiały, jakiemi w nagłych wypadkach posługuje się służba gończa. A przecież ten kto się ukrywa, robi wszystko aby nie być rozpoznanym, aby zginąć w tłumie, aby w pierwszym zetknięciu zmienić i uniepodobnić swój wygląd do tego, jaki pozostawił w pamięci otoczenia w okresie, gdy nie był jeszcze ścigany. Pamiętamy czasy tej przymusowej maskarady, jakiej świadkami byliśmy w okresie okupacji, gdy nagle brał nas w objęcia, jakiś na pozór obcy całkiem brodacz i wąsal, w którym poznawaliśmy dawnego przyjaciela. Obecnie sytuacja zmieniła się całkowicie, gdy my powoli powracamy do swych dawnych extérieur'ów, napewno gdzieś obok nas przechodzi jakiś człowiek, obrzuca nas lękliwym spojrzeniem spoza ciemnych okularów; przyśpiesza kroku zadowolony, że nie został rozpoznany. Spotykaliśmy go w czasie wojny w knajpie w towarzystwie gestapowców, pamiętamy jego szwargot niemiecki, a często poznalibyśmy w jego spojrzeniu pogardliwy wzrok, którym przeszywał nas podczas badania na posterunku żandarmerii.

Ostatnio na łamach prasy pojawiły się enuncjacje amerykańskiego kryminologa Luisa C.S. Mansfielda, który twierdzi że Hitler nie zginął, że żyje, że może obracać się pośród nas.

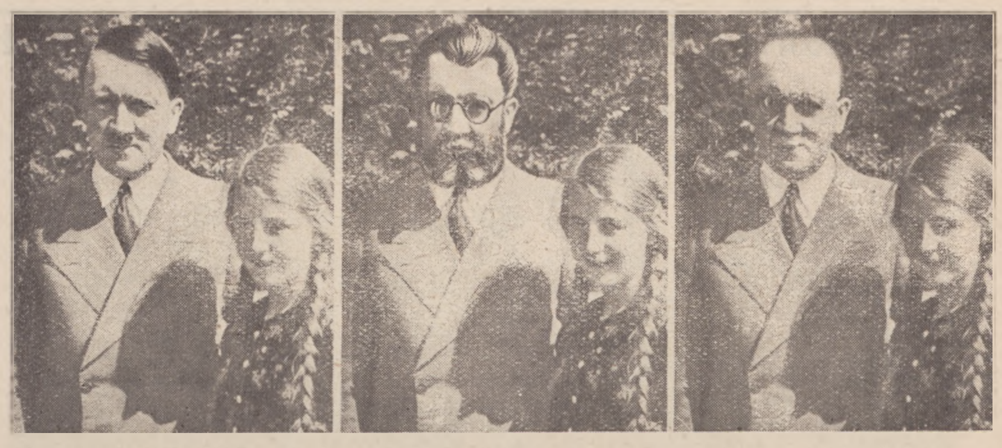
Jeżeli żyje, to prawdopodobnie jest dobrze ukryty i izolowany od otoczenia przez swych przyjaciół, jeśli wyjdzie na światło dzienne, to napewno po przeprowadzeniu tak dokładnego maquillage'u, że nawet Goering i Keitel nie poznają go z tamtego świata.

Warto może przypomnieć w tym miejscu o pewnych mało znanych metodach, jakimi posługuje się służba śledcza przy poszukiwaniu przestępców większej wagi. Wtedy to obok zdjęć autentycznych przestępcy, robi się za pomocą specjalnego retuszu zdjęcia hipotetyczne. Polegają one na tym, że na oryginalnej fotografii, zachowując zasadniczy układ twarzy, dorysowuje się umiejętnie te szczegóły, które poszukiwany może sobie w każdej chwili dorobić, jak brodę, wąsy, okulary, przypuszczalna zmiana ubrania itp. Pracę tę można też wykonywać w przeciwnym kierunku, a więc wyjść z założenia, że poszukiwana osoba pozbywa się pewnych charakterystycznych szczegółów, a więc goli brodę, wąsy i głowę, zdejmuje okulary itp. Wtedy to grafik kryminolog na oryginalnym zdjęciu, za pomocą retuszu kasuje masę szczegółów i odtwarza wizerunek przestępcy w domniemanym kształcie.

Poważnymi też przeszkodami w poszukiwaniach. są zdolności indywidualne ściganego. który dzięki mimice twarzy potrafi nadać jej całkiem inny wyraz, bez żadnej charakteryzacji zewnętrznej. Jednak w tym wypadku może być tylko mowa o krótkich obrazach przejściowych. bo przecież jest to do pewnego stopnia tylko gra aktorska. której nikt stale uprawiać nie może.

Na zdjęciach naszych podajemy czytelnikom próbę takiego retuszu hipotetycznego (pozytywnego i negatywnego) i to na fotografii Hitlera. Jednocześnie zamieszczamy dwa zdjęcia jednego ze znanych aktorów. który bez żadnej charakteryzacji twarzy. potrafi jej nadać tak odmienne dwa wyrazy, że nie sposób ustalić identyczności jednej i tej samej osoby.

Świat dla ściganego jest zawsze zbyt ciasny i trudno sobie wyobrazić sytuację, w której w danym momencie. (mimo, że tak często czytamy o tym w powieściach) moglibyśmy oderwać się od swojej przeszłości i zacząć odmienne nowe życie. W każdym nowym środowisku. jeśli nie wykażemy się dokumentami przeszłości, będziemy budzić podejrzenia. Jeśli nasze alibi poprzemy zeznaniami kilku fałszywych świadków. jesteśmy zdani na łaskę ludzkich języków. które prędzej czy później rozkręcają się i dzielą tajemnicę z niepowołaną osobą. W dzisiejszych czasach, nawet wśród dzikiego plemienia. nie możemy być pewni. że nagle nie spotkamy się oko w oko z naszym życiowym sekwestratorem.



Na zdjęciu widzimy trzy podobizny Hitlera: 1. zdjęcie oryginalne, 2. po retuszu pozytywnym, (dorobienie brody, okularów i zmiana uczesania), 3. to samo zdjęcie po dokonaniu retuszu negatywnego (zasadnicze rysy twarzy na wszystkich trzech zdjęciach nie uległy zmianie).

Tak bywa ze zwykłym człowiekiem, który chciałby zniknąć nagle z powierzchni ziemi, a jeśli mowa o tak wielkim zbrodniarzu, jak Hitler, to jeśli żyje — tajemnica jego zniknięcia prędzej czy później napewno zostanie wyjaśniona.

J. Ceha



...oto drugi typ, jakże niepodobny do groźnego potentata finansowego w monoklu.

KUPON 9

Zagadka Nr 9 — 5 punktów

....
nazwisko i imię

....

....
adres

....
rozwiązanie

Wypełnić czytelnie, wyciąć i odesłać.

MODA DLA WSZYSTKICH



Dziś moda jest własnością wszystkich. Tak jak inne talenty rozsypała się po świecie krocząc często zaułkami miast w gustownym kapturku podlotka lub własnoręcznie skombinowanym płaszczyku robotnicy.

Osobisty gust, umiejętność dostosowania stroju do typu, urody i okoliczności znaczą dziś więcej, niż majątek. Wprawne oko i ręka umiejąca wyciągnąć z powodzi łachów U.N.R.R.A. lub przydziałowych tekstyliów gustowny wzór, najtrwalszy barwik tkaniny lub wełnę dobrej jakości, świadczy o panowaniu ducha praktyczności, będącej przywilejem ludzi pracy.

Opis modeli.

Pokazujemy w dzisiejszym numerze pomysłowe połączenie sukienki biurowej z wizytową.

Rano pracujemy nie martwiąc się wcale, że zbrudzimy lub wygnieciemy naszą jedyną kreację do „wyjścia". Jest to po prostu zwykła codzienna sukienka, którą pomysłowo zmieniamy na wizytową.

Nr. 1. Całość składa się z trzech części: kloszowej lub pół-kloszowej (dla tęższych osób) spódniczki z ciemnej wełenki i dopasowanego żakiecika. Pod żakiecik wkładamy na codzień bluzkę sportową ze zwykłej koszulówki na przydział, z wizytą zaś elegancką bluzkę jedwabną w kolorze spódniczki, aby tworzyły całość.

Nr. 2. A po zdjęciu żakiecika... Opuszczamy krótką baskinę bluzki lub wyjmujemy ją ze spódnicy, o ile jest z niegniotącego się materiału i jesteśmy w wizytowej sukni. Mały kapelusik ozdobiony woalką i mocno kolorowa chusteczka dopełniają całości.

Nr. 3. Z mniej uroczystą wizytą rozchylamy żakiecik podszywając na przodzie białą lub kolorową kamizelkę, mankiety i przypinamy kwiat w kolorze kamizelki.

Barbara Malanowicz

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagroda 150 zł została podzielona pomiędzy trzech korespondentów: po 50 zł otrzymali: 1) Delegatura „Społem" na okręg Dolnośląski we Wrocławiu, 2) Ludwik Stabrawa, oddział „Społem" w Biłgoraju, ul. Piaski 3, i 3) Stanisław Jaros w Szprotawie (Dolny Śląsk) ul. Komarowska 36 — za nadesłanie (kolejno) następujących wycinków:

DO OB. DYREKTORA SPÓŁDZIELNI „SPOŁEM" w/m.

Wobec przypadającej 6 października r. b drugiej rocznicy powstania Milicji Obywatelskiej... powiatowy Komitet Organizacyjny Święta MO w Ząbkowicach... postanowił urządzić zabawę dla MO z całego powiatu. W związku z powyższym uchwalono, że „Społem" będzie partycypować w kosztach urządzenia zabawy przez złożenie na ręce ob. Glühera, kierownika wydz. śledczego, conajmniej 10.000 zł w gotówce lub towarami w papierosach. Gotówkę przyjmuje ob. Glüher codziennie w godz. 8 — 17...W sprawie dostarczenia towarów w naturze należy porozumieć się z ob. Glüherem, aby dostarczone produkty nie uległy ewentualnemu zepsuciu. — Podpis: Walenty Klonowski, przewodniczący Pow. Komit. Org. obchodu 2-giej rocznicy powstania MO.

Oddział „Społem" w Ząbkowicach pospieszył podobno zapewnić ob. Glühera, że papierosy, to taki towar, który nie ulega zepsuciu. Wobec tego mogą przeleżeć w składnicy „Społem" conajmniej do przyszłego roku.

OGŁOSZENIE ZE „SZTANDARU LUDU" (Nr 266)

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa w Biłgoraju prowadzi skup ziemiopłodów od rolników, jak: jaja, miód jasny, ciemny, drób, skóry zwierzęce, futerkowe itp.

Jak wiadomo, oprócz wyszczególnionych, do ziemiopłodów należą: węgiel kamienny, diamenty, kruszce szlachetne, minerały, olej skalny, nafta, benzyna itp. Co się tyczy jaj, zachodzi pewna nieścisłość: jaja drobiu, znoszone na powierzchni ziemi, oraz jaja ptasie, znoszone w gniazdach, nie należą do ziemiopłodów. Są niemi natomiast jaja strusie, składane przez te ptaki w ziemi, w piasku gorącym. Stąd też i same strusie, które się tym sposobem wylęgają, można poniekąd zaliczyć do ziemiopłodów.

CO MOŻE LITERA?

W „Dzienniku Zachodnim" (Nr 269/583) ukazał się artykuł omawiający otwarcie rozgłośni wrocławskiej, której

uruchomienie wywołuje szeroki rozdźwięk wśród całego społeczeństwa polskiego, jak to w swym przemówieniu stwierdził dr. Billig, naczelny dyrektor Polskiego Radia.

Jaka zachodzi różnica pomiędzy rozdźwiękiem o oddźwiękiem? Prawdopodobnie taka, jak między węglem kamiennym a kamieniem węgielnym itd.

WARUNKI KONKURSU

W dzisiejszym numerze ogłaszamy II konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 2000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
4 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 30 stycznia 1947 roku do redakcji „Tygodnia", Łódź, ulica Pomorska 37/1.



Anegdoty historyczne

ŚMIERĆ KRÓLOM!

Jan Chrzciciel Bernadotte (1764 — 1844), założyciel obecnej dynastii szwedzkiej, za czasów napoleońskich marszałek Francji i książę Pontecorvo, w okresie Rewolucji, gdy był prostym sierżantem, kazał sobie — zwyczajem sankiulotów — wytatuować ramię.

Wiele lat później, gdy już był jego królewską mością Karolem XIV, królem Szwedów, Gotów i Wandalów — pewnego dnia zachorował i lekarz uznał, że jedynym ratunkiem jest puszczenie krwi, który to zabieg stosowano zwykle na lewym ramieniu — u króla właśnie wytatuowanym. Bernadotte opierał się długo i rozpaczliwie, czego nadworny chirurg nie mógł zrozumieć, wiedząc, jak walecznym i nieustraszonym wojownikiem był monarcha. Oświadczył więc mu wręcz, że nie bierze odpowiedzialności za jego życie, potrzebne dla kraju. Wówczas król uległ, lecz zażądał od chirurga przysięgi, że nie powie nigdy nikomu o tym, co widział na jego ramieniu.

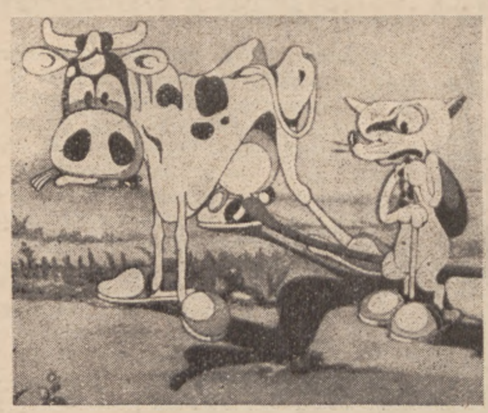
Chirurg odwinął rękaw koszuli królewskiej i ujrzał piękny tatuaż, wyobrażający rewolucyjną czapkę frygijską z napisem: „Śmierć królom!"

Amerykańscy kadeci w historycznych strojach



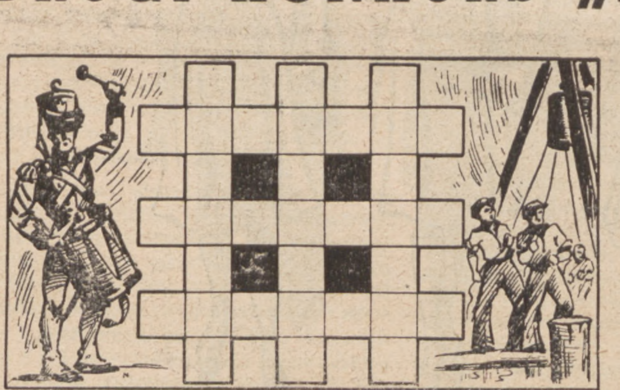
Najstarszą szkołą w armii amerykańskiej jest szkoła kadetów, istniejąca od czasów Washingtona, której wychowankowie zachowali dawne tradycyjne mundury. Yankesi tak mało przywiązujący wagę do tradycji — darzą wielką sympatią młodych kadetów. Na dorocznym święcie szkoły obecny jest zawsze prezydent St. Zjedn. A. P. Na zdjęciu prezydent Truman przechodzi przed frontem wychowanków szkoły.

PIERWSZY POWOJENNY POLSKI FILM RYSUNKOWY



Kapitan M. Sieński przy pomocy 11-tu rysowników pracuje nad pierwszym powojennym filmem rysunkowym polskim, który się będzie nazywał „Lisem Kitaszkiem". Jest to groteskowa przeróbka bajki La Fontaine'a, o głębszym jednak podejściu do tematu, który stanowią przygody chytrego, a w gruncie rzeczy naiwnego lisa: film mianowicie wysuwa analogie pomiędzy światem zwierząt a światem ludzi. Premiera „Lisa Kitaszka" odbędzie się wkrótce, prawdopodobnie jednocześnie z „Zakazanymi piosenkami".

DRUGI KONKURS „TYGODNIA"



NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

Kwadrat magiczny.

W podaną figurę należy wpisać 3 wyrazy 7-io literowe ,o następującym znaczeniu: 1) Ajer. 2) Bęben, tołombus. 3) Baba ręczna.



Zagadka dziewiąta

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Zgodnie z zapowiedzią w Nr 8 „Tygodnia" — zamieszczać będziemy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie polegać będzie na odgadnięciu treści ilustracji oraz wypełnieniu odpowiedniego kuponu. Kupony wszystkie razem przesłać należy najpóźniej do dnia 17 grudnia 1946 r. do redakcji „Tygodnia". Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzymuje pewną ilość punktów. Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o podziale zadecyduje losowanie. Oto wykaz nagród:

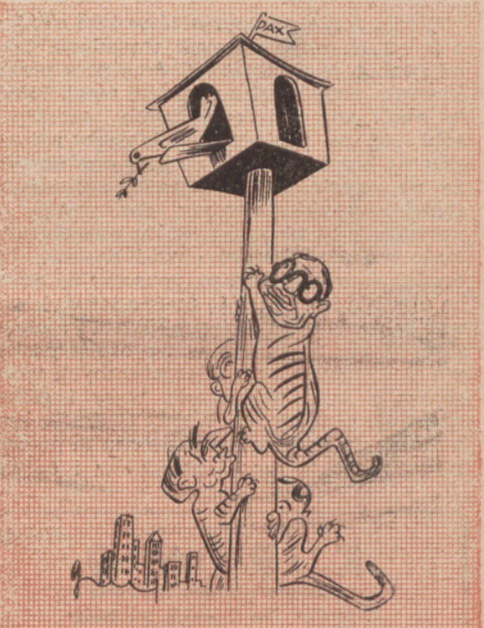
1 nagroda — 3000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
5 nagród po 500 zł.
10 nagród po 250 zł.
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Wyniki konkursu podamy w numerze 25 z datą 29.12. 1946 r. Polecamy zatem uwadze czytelników dziewiątą z zagadek, umieszczoną w dzisiejszym numerze.

(za rozwiązanie 5 punktów)

Zagadka Nr 9

Cała promienna radość życia pod gorącym niebem południa uosobiona jest w tym niezmiernie ruchliwym i szybkim tańcu. Muzyce jego w takcie 6/8 towarzyszą zawsze uderzenia tamburina. Jak twierdzą niektórzy, nazwa jego pochodzi od nazwy jadowitego pająka, którego ukąszenie ma wywoływać gwałtowne ruchy ciała, na których wzorowany jest jakoby ten taniec. Mimo, że zazwyczaj tańczy się go w krajach południa — jak tego dowodzi nasza fotografia — tańce takie komponowali Chopin i Wieniawski. Jaka jest jego nazwa?



Osiąganie pokoju.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13—14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 011405